

Przez świat

Tom XXIV

pod redakcją naukową
Andrzeja Urbanika
Macieja Brożyny
Łukasza Godka



WYDAWNICTWO
UNIwersytetu Rzeszowskiego
RZESZÓW 2020

Autorzy: Katarzyna Anoszczenko, Agnieszka Batycka, Krzysztof Batycki, Beata Cukiernik, Tomasz Cukiernik, Anna Kolmas, Radomir Kolmas, Piotr Wiland

Współpraca redakcyjna

portal internetowy www.travelbit.pl

Recenzował

dr hab. inż. Marian Kowalewski, prof. AWF w Warszawie

Projekt okładki

Andrzej Urbanik

Fotografia na okładce

fot. K. Kobus – TravelPhoto.pl

Przygotowanie do druku

Dorota Koczub

Korekta

Janina Dubiel

ISBN 978-83-903830-0-2 (całość)

ISBN 978-83-7996-842-8 (tom XXIV)

CIP – Biblioteka Narodowa

© Copyright by Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2020

© Copyright by portal internetowy www.travelbit.pl, Kraków 2020

Autorzy i wydawca tej książki starali się, by jej tekst był rzeczowy i aktualny. Należy zdać sobie sprawę, że podane fakty i dane mogły ulec zmianie. Autorzy i wydawca nie mogą wziąć odpowiedzialności za jakiegokolwiek skutki wynikające z korzystania z podanych w książce informacji. Wydawca nie odpowiada za treść zamieszczonych w tej książce reklam.

WYDAWNICTWO UNIwersYTETU RZESZOWSKIEGO

35-959 Rzeszów, ul. prof. S. Pigonia 6, tel. 17 872 13 69, tel./faks 17 872 14 26

e-mail: wydaw@ur.edu.pl; <http://wydawnictwo.ur.edu.pl>

wydanie I, format A5, ark. wyd. 14,10, ark. druk. 12, zlec. red. 98/2018

Druk i oprawa: Drukarnia Uniwersytetu Rzeszowskiego

Drodzy Czytelnicy

Książka, która trafia do Waszych rąk, jest niezwykła, niezwykli bowiem są jej autorzy. Na pozór są zwyczajnymi ludźmi, zanurzonymi w szarej codzienności, ale w sercach noszą tęsknotę za dalekimi wożami, którą zaspokajają w czasie wakacji, przemieniając się w wytrawnych podróżników. Dla nich podróż to sztuka życia, pozbawiona jałowości masowej turystyki. Co więcej, potrafią oni dzielić się swoimi doświadczeniami, a często i bezcennymi informacjami. Z relacji ich podróży powstała ta oto książka, która pozwoli Wam wyruszyć w świat bez niepewności dokąd, jak i za ile. Nie zastępuje ona przewodników, ale je uzupełnia, podpowiada bowiem, jak zrealizować konkretne podróże w ciekawe zakątki świata, zarówno bliskie, jak i dalekie.

Język relacji jest prosty, ale bardzo konkretny, dlatego staraliśmy się zachować specyficzny charakter tej książki, ograniczając korekty redakcyjne do minimum. W tekście zachowano pisownię nazw geograficznych podaną przez autorów.

Tom pierwszy „Przez świat” był swego rodzaju eksperymentem, ponieważ na polskim rynku nie ukazała się dotąd książka tego rodzaju. Jednak powodzenie, jakie osiągnął tom I, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Książka zniknęła błyskawicznie z księgarni, a w mediach ukazały się znakomite recenzje. Jeszcze lepiej wypadły kolejne tomy. Co jednak najbardziej nas cieszy, otrzymaliśmy ogromną liczbę listów zarówno od podróżników, jak i tych, którzy marzą o dalekich podróżach. Otrzymujemy także kolejne relacje, którymi dzielimy się z Wami. Kiedy książka ta trafi do Was, będziemy pracować nad następnym tomem, do którego współtworzenia serdecznie zapraszamy.

Tradycyjnie zapraszamy na imprezy przez nas organizowane (informacje o nich znajdziecie na kolejnych stronach), a także na naszą stronę www w Internecie.

Życząc ciekawej lektury, mamy nadzieję spotkać Was na globtroterskim szlaku.



Andrzej Urbanik



www.travelbit.pl

To adres internetowy travelbit-u.

Już od 1996 roku zapraszamy wszystkich podróżników-internautów do odwiedzania naszej strony. Znajdziecie tam informacje o nas, o imprezach przez nas organizowanych, wiadomości zebrane przez OSOTT-owiczów, a także informacje o książkach „Przez świat”. W dziale „Relacje z wypraw” zebrano ciekawe sprawozdania z eskapad po całym świecie. Bardzo przydatny jest dział „Imprezy dla podróżników” będący kalendarium najważniejszych imprez podróżniczych i turystycznych w Polsce oraz na świecie. Osobny dział poświęcono najważniejszemu spotkaniu globtroterskiemu w Polsce, jakim jest Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów (OSOTT).

Jednak chyba najcenniejszą możliwością jest nasza Lista dyskusyjna. Jest ona najbardziej dostępnym i najszybszym sposobem wymiany informacji. Jeżeli zdobyłeś ciekawe wiadomości, po prostu prześlij je do Listy dyskusyjnej Travelbit-u. Jeżeli szukasz towarzyszy podróży, napisz o tym do Listy dyskusyjnej Travelbit-u. Jeżeli masz jakieś problemy związane z podróżowaniem, napisz o tym do Listy dyskusyjnej Travelbit-u.

Im więcej będzie nas uczestniczyć w naszej Travelbitowej liście dyskusyjnej, tym łatwiej będzie nam się kontaktować i na bieżąco wymieniać informacje.

W świecie globtroterów

Trudno z całą pewnością ustalić, kiedy w Polsce powstał ruch globtroterski. Najpewniej wszystko zaczęło się w latach siedemdziesiątych w środowisku akademickim, gdy powszechne stało się organizowanie wyjazdów turystycznych, nazwanych wkrótce trampingowymi. Ich uczestnicy organizowali je sami, wymyślając trasę, a wędrowali bez pomocy biur turystycznych.

Na trampingowy szlak wyruszali także coraz śmielej podróżnicy indywidualni, korzystając z oficjalnych przydziałów dewizowych (po wielu zabiegach można było wykupić, po oficjalnym kursie, niższym pięciokrotnie od czarnorynkowego, równowartość kwoty 150 USD). Hasło „Świat za 150 dolarów” stało się modne i z tą magiczną kwotą wędrowali po nim polscy globtroterzy.

W 1976 roku w Krakowie, w studenckim biurze podróży Almatu, Andrzej Urbanik, jeden z głównych organizatorów trampingowych eskapad, stworzył BIT, czyli Bank Informacji Trampingowej. Początkowo był to zwykły skoroszyt, do którego wpinał relacje z podróży własnych i swoich znajomych. Pomysł okazał się znakomity i wkrótce BIT rozrósł się do rozmiarów sporego archiwum, a w roku 1994 przekształcił się w Travel BIT – Centrum Podróżnicze, które działa w sposób niekomercyjny i specjalizuje się w informacji globtroterskiej. Często jednak okazywało się, że w czasie zdobywania informacji konieczny jest bezpośredni kontakt z tymi, którzy wędrowali w rejonie, do którego chcielibyśmy się właśnie udać. Dotarcie do właściwych osób nie zawsze było proste, a często nie gwarantowało także sukcesu. Przekonał się o tym Andrzej Urbanik, kiedy nie udało mu się uzyskać informacji o Indonezji, a jedynym argumentem „życzliwego” informatora było stwierdzenie, że najlepiej jest się uczyć na własnych błędach. Kiedy Andrzej dotarł wraz ze swoim przyjacielem – podróżnikiem Krzysztofem Kmiecikiem do Indonezji, podzielił się z nim pomysłem zorganizowania mityngu globtroterów. Było to na Bali w 1985 roku. Po powrocie do kraju „rozpuścili wici” i w listopadowy wieczór do podkrakowskich Harbutowic zjechało ponad 50 podróżników. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę i odtąd co roku w listopadzie, w różnych miejscach w Polsce, spotykają się na OSOTT (Ogólnopolskie Spotkania Organizatorów Turysty-

ki Trampingowej), czyli głównym mityngu podróżniczym, zarówno polscy, jak i zagraniczni globtroterzy. Ma on formę sympozjum, w czasie którego prezentowane są prezencja z całego świata, plakaty fotograficzne oraz omawiane są różne problemy związane z podróżowaniem (najważniejsza jest sesja „Geografia Podróżowania”). W sumie OSOTT to forum wymiany informacji i spotkanie o specyficznej atmosferze, przeznaczone dla doświadczonych podróżników, ale i tych, którzy planują wyruszyć w świat. Warto podkreślić, że impreza ma całkowicie niekomercyjny charakter. Co bardzo cenne – OSOTT-owicze coraz częściej organizują podobne imprezy o charakterze lokalnym lub regionalnym, umożliwiając przekonywanie do podróżowania kolejnych marzycieli.

Ważną rolę od początku istnienia ruchu globtroterskiego w Polsce odgrywały wydawnictwa. W latach 1987–1991 na łamach Ilustrowanego Magazynu Turystycznego „Światowid” ukazywały się rubryki „Vademecum Globtrotera” i „Klub Globtroterów”, redagowane przez Liliannę Olchowik i Andrzeja Urbanika, które były głównym forum wymiany informacji podróżniczej. Od roku 1989 BIT wydawał własne pisma – najpierw „Globtroter”, potem „Travel”. Uczestnicy OSOTT-ów stali się autorami pierwszych globtroterskich przewodników w Polsce. Najpopularniejszy, będący już klasycznym przykładem, to wydany w 1987 roku „Przewodnik Trampingowy: Birma, Tajlandia, Malezja, Singapur, Indonezja” autorstwa Andrzeja Urbanika, z którym powędrowało w ten piękny rejon świata już kilka pokoleń podróżników (ciekawostką jest wydanie plagiatu). Chyba najwięcej zamieszania (w pozytywnym tego słowa znaczeniu) w podróżniczym świecie wywołała książka Ediego Pyrka pod zmiennym tytułem „Niech cały świat myśli, że jestem szalony, czyli do Indii za 30 dolarów”. Po jej przeczytaniu wielu dotąd niezdecydowanych marzycieli wyruszyło na globtroterski szlak. Od roku 1996 rozpoczęto wydawanie serii wydawniczej „Przez świat”. Jest ona w pewnym sensie kontynuacją pism „Globtroter” i „Travel”. Książki tej serii spełniają nie tylko zadanie informacyjne, ale także pełnią rolę integracyjną dla środowiska podróżników.

To tyle historii, a teraz odpowiedź – jak trafić do świata globtroterów. Najlepszą okazją jest przyjazd na OSOTT – Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów. Spotkanie przeznaczone jest dla podróżników i tych, którzy marzą o dalekich podróżach.

Od roku 2013 OSOTT rozszerza swoją formułę, jako że organizowany jest wspólnie przez serwis www.travelbit.pl oraz Uniwersytet Rzeszowski. Więcej informacji na stronie www.travelbit.pl/osott.

Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów – **OSOTT** www.travelbit.pl/osott

W historii polskiego ruchu globtroterskiego (trampingowego) bardzo ważną rolę (można wręcz powiedzieć, że zasadniczą) odegrało zorganizowanie, w roku 1985, ogólnopolskiego spotkania globtroterów o otwartej formule. Organizatorem przedsięwzięcia był Andrzej Urbanik (lekarz i podróżnik z Krakowa), który wymyślił nazwę i zasady imprezy. OSOTT (Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów) okazał się interesujący dla podróżników, żeglarzy, alpinistów, baloniarzy, lotniarzy i pletwonurków, słowem dla wszystkich, którzy poznawali świat podróżując „lądem, morzem i powietrzem”. W kolejnych latach na OSOTT przyjeżdżać zaczęło coraz więcej podróżników i ten sposób powstała ogólnopolska społeczność trampingowa, która odegrała ogromną rolę w rozwoju ruchu globtroterskiego (trampingowego) w Polsce.

W czasie OSOTT prezentowane są prezencja z całego świata, plakaty fotograficzne oraz omawiane są różne problemy związane z podróżowaniem. Organizowane są także konkursy na najlepszą podróżniczą fotografię oraz relacje z podróży.

W sumie OSOTT to forum wymiany informacji i spotkanie o specyficznej atmosferze, przeznaczone zarówno dla doświadczonych podróżników, jak i tych, którzy marzą o dalekich eskapadach. Słowem, to znacznie więcej niż festiwal podróżniczy.

Nie wiadomo do końca, gdzie tkwi fenomen OSOTT-u. Być może w niepowtarzalnej formule. Kilkuset uczestników spotkania przez trzy dni jest cały czas ze sobą. Mieszkają w tym samym hotelu, wspólnie spożywają posiłki, do późnych godzin nocnych wspólnie wędrują, oglądając pokazy przeżroczy bądź multimediów. Tworzą się grupy wyjeżdżające razem na wyprawy, nawiązują przyjaźnie, a zdarza się że i miłości – jest już kilkanaście OSOTT-owych małżeństw. OSOTT wyłamuje się z często powtarzanego schematu festiwali podróżniczych, gdzie jest grupa prezydentów i widzowie. W przypadku OSOTT wszyscy są na równych prawach. Wszyscy zachowują się „normalnie” bez gwiazdorstwa i to nadaje wspólną atmosferę imprezie.

Od roku 2013 OSOTT organizowane jest w Rzeszowie w ramach współpracy z Uniwersytetem Rzeszowskim oraz Miastem Rzeszów – patronami są Rektor UR i Prezydent Miasta.

Udział w OSOTT możliwy jest dla mieszkańców miasta, bowiem impreza ma otwarty charakter. Tak więc, na ile pojemność sali pozwoli, organizatorzy zapraszają Rzeszowian i mieszkańców Podkarpacia do wspólnej podróży przez świat.



**Uniwersytet Rzeszowski
oraz serwis podróżniczy www.travelbit.pl
serdecznie zapraszają na XXXVI OSOTT 2020,
który odbędzie się w Rzeszowie w dniach 20–22 listopada 2020.
Do udziału zapraszamy nie tylko doświadczonych podróżników,
ale i tych, którzy marzą o dalekich podróżach.**

Informacje:

www.travelbit.pl/osott

www.ur.edu.pl

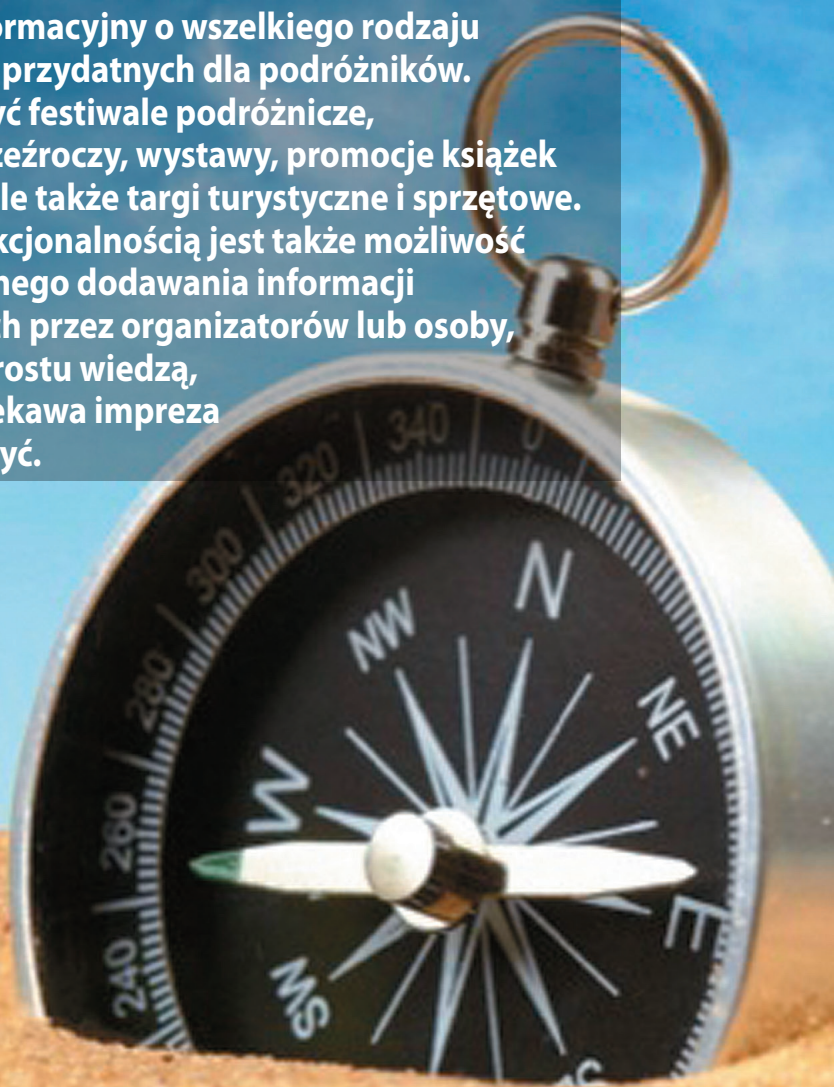


Impreza odbędzie się pod honorowym patronatem
Prezydenta Miasta Rzeszowa, Marszałka Województwa Podkarpackiego
oraz Rektora Uniwersytetu Rzeszowskiego



imprezy-dla-podroznikow.pl

Serwis informacyjny o wszelkiego rodzaju imprezach przydatnych dla podróżników. Mogą to być festiwale podróżnicze, pokazy przeźroczy, wystawy, promocje książek i sprzętu, ale także targi turystyczne i sprzętowe. Cenną funkcjonalnością jest także możliwość samodzielnego dodawania informacji o imprezach przez organizatorów lub osoby, które po prostu wiedzą, że jakaś ciekawa impreza ma się odbyć.



Konkurs na relację z wypraw

Uniwersytet Rzeszowski oraz Travelbit zapraszają do przesyłania relacji z podróży. Zamieszczone będą na stronie www.travelbit.pl w dziale „Relacje z wypraw”. Mogą one mieć dowolny układ, jednak proponujemy, aby zamieszczać w nich jak najwięcej informacji praktycznych – takie relacje są najchętniej czytane i oceniane najwyżej. Autorzy najlepszych relacji będą nagradzani książkami z serii „Przez świat”.

Mamy także przyjemność poinformować, że jeżeli nadesłane relacje spełnią warunki regulaminu (patrz poniżej), będą automatycznie brały udział w konkursie z nagrodami, a najlepsze z nich znajdą się w kolejnym tomie książki „Przez świat”. Za nadesłane, a także opublikowane relacje nie są wypłacane honoraria – autorzy biorą udział w corocznym konkursie.

Konkurs na relację do tomu XXV książki „Przez świat”

Każdy uczestnik może nadesłać dowolną liczbę sprawozdań/relacji z podróży odbytych w latach 2019–2020. Termin nadsyłania prac – na adres mailowy **travelbit@travelbit.pl** – upływa w dniu 20 lutego 2021. Relacje będą oceniane pod kątem wartości praktycznych informacji, czyli na ile po ich lekturze będzie można zrealizować taką samą podróż.

Zaleca się, aby maksymalna objętość dziennika/sprawozdania wynosiła 12 stron A-4 (12 stron po 1800 znaków); zwięźłość mile widziana. Prosimy także autorów, aby relacje były pisane w tym samym czasie (teraźniejszym lub przeszłym), a także aby nie zamieszczać tabel. Jako wyróżnień tekstu prosimy nie używać WERSALIKÓW, wystarczy **Bold**.

Preferowany układ:

Przejazd – na trasie – za ile – ile trwał – jaki środek komunikacji – ew. firma – uwagi,

Noclegi – nazwa hotelu – adres – cena – uwagi,

Zwiedzanie – nazwy obiektów – lokalizacja – dojazd – ceny wstępów – uwagi,

Dodatkowo – termin odbytej podróży, kursy walut (najlepiej w stosunku do USD lub EUR), ceny żywności oraz inne podstawowe, ważne informacje (np. szczepienia, wizy...). Najlepiej jeżeli te informacje będą podawane w układzie opis podróży dzień po dniu. Jeżeli jednak uznacie, że opracowana przez Was inna forma będzie lepsza – zaproponujcie własny układ. Prosimy o niezamieszczanie informacji opisowych i historycznych, jakie można znaleźć w przewodnikach (chyba że są to nieznane fakty albo są na tyle ważne, że trzeba o nich napisać).

Najlepsze prace zamieścimy w kolejnym tomie książki „Przez świat”. Przewidujemy umieszczenie prac na stronie **www.travelbit.pl**, a także współpracujących z nami portali (jeżeli uczestnik konkursu nie zgłosi w tej sprawie zastrzeżeń). Za nadesłane, a także opublikowane relacje nie są wypłacane honoraria – autorzy biorą udział w konkursie.

Z naszej strony nie czynimy przeszkód, aby teksty zamieszczone w książce „Przez świat” były później publikowane w innych mediach.

Syberia zimą



Termin: 6–20 marca 2020

Całkowity koszt podróży: 9,6 tys. zł za dwie osoby, w tym prawie 4 tys. zł samoloty

Trasa: Berlin – Moskwa – Irkuck – Listwianka – Irkuck – wyspa Olchon – Irkuck – Moskwa – Berlin

RELACJA Z PODRÓŻY

6 marca

O godz. 11.15 Flixbus z Katowic na lotnisko Schoenefeld w Berlinie – 80 zł/os. Przyjazd na lotnisko kilka minut po godz. 17. Na lotnisku bardzo mało ludzi. Kawa 3,6 EUR. Bagaż nadaliśmy bezpośrednio do Irkucka. Samolot Airbus A321 Aeroflotu wyleciał o godz. 23.35. Na pokładzie brak alkoholu, tylko piwo do kupienia.

7 marca

Lot trwał 2,5 godziny. Przylot do Moskwy o godz. 4 rano. Autobus H1 z lotniska Szeremietiewo spod terminala D. Wyjście bez szczególnych utrudnień; pomimo koronawirusa na lotnisku tylko kilka osób w maskach. W autobusie kierowca nie miał wydać z 5000 rubli, więc jechaliśmy bez biletu do centrum Moskwy na przystanek Ochotnyj Riad – 50 min. Puste ulice.

Wszystko pozamykane. Szerokie ulice, przejścia podziemne dla pieszych, świąteczne świecące ozdoby na ulicach. Dookoła pijani imprezowicze z dyskotek. McDonald koło Kremla otwarty od godz. 6.15, paskudne śniadanie ok. 500 rubli/2 os.

Poszliśmy na plac Czerwony. Przygotowania do jakiejś imprezy i cały plac zastawiony jakimiś rusztowaniami. Widzieliśmy z daleka mauzoleum Lenina, a z bliska sklep towarowy GUM, muzeum historyczne, trybuna Łobnoje Miasto, pomnik Minina i Pożarskiego, którzy w 1612 r. wywołali powstanie, by usunąć Polaków z Kremla. Duże wrażenie robi Sobór Wasyla Błogosławionego, ale czynny od godz. 11, więc nie weszliśmy do środka. Poszliśmy na Wielki Most Moskiewski, skąd można zrobić ładne

zdjęcia Kremla. Potem spacerowaliśmy wzdłuż brzegów rzeki Moskwy, jednocześnie obok murów Kremla. Doszliśmy do Wielkiego Kamiennego Mostu.

Kolejne punkty zwiedzania:

- budynek Dumy
- teatr Balszoi, czyli Teatr Wielki
- pomnik Marksa
- budynek Łubianki

Ze stacji Łubianka pojechaliśmy metrem do stacji Barrikadnaja (bilet 57 rubli, czyli 3,5 zł za jeden przejazd). Poszliśmy do kawiarni na kawę. Litr wody za 50 rubli. Poszliśmy zobaczyć Biały Dom nad rzeką Moskwą, czyli budynek rządu Rosji. Po przeciwnej stronie rzeki Moskwy stoi dawny hotel Ukraina, obecnie Radisson. W oddali w smogu widać było wieżowce dzielnicy biznesowej. Potem wzdłuż rzeki Moskwy doszliśmy do ulicy Arbat, czyli deptaka z pamiątkami. Kupiliśmy trzy magnesy na lodówkę za 100 rubli. Temperatura około 5–8 st. Celsjusza, zaczął padać deszcz. Zauważalni są wszzechobecni na ulicach policjanci, którzy pilnują porządku. Postanowiliśmy zwiedzić same stacje metra linii jeżdżącej wokół centrum miasta. Wsiadliśmy do metra na stacji Arbatskaja i pojechaliśmy na stacje: Komsomolskaja, Nowosłobodskaja i Białoruskaja (warto!). To wszystko na jednym bilecie. Wyszliśmy ze stacji Białoruskaja, ale okazało się, że nie ma tam autobusów na lotnisko, jest tylko pociąg Aeroekspress, który kosztuje 500 rubli/os. Wsiadliśmy z powrotem do metra i pojechaliśmy na stację Riecznoj Wokzał. Stamtąd autobus 81 za 57 rubli/os. Do terminala B (terminal krajowy) lotniska Szeremietjewo, mimo korka, jechaliśmy około godzinę. Przed wejściem na terminal obowiązkowa kontrola bagażu. Na lotnisku kilka osób w maseczkach. Woda na lotnisku 0,5 l za 70 rubli. Samolot Boeing 737–800 linii Aeroflot o godz. 17.40. Lot przyjemny.

8 marca

Lot trwał 5 godzin i 5 min, przylot ok. godz. 4 nad ranem. Na lotnisku woda mineralna 1,5 l – 150 rubli. Bardzo małe lotnisko; na zewnątrz minus 10 st. Celsjusza. W Irkucku zmiana czasu – trzeba dodać 7 godzin do czasu polskiego. Taxi do hotelu Matrioszka – około 8 km kosztowało 500 rubli. Taksówkarz powiedział, że w Irkucku zarabia się około 10 000 rubli, czyli około 600 zł za miesiąc. Hotel Matrioszka kosztował 4000 rubli za 2,5 nocy ze śniadaniem, pokój czysty sprzątany codziennie, bardzo ciepło w środku. Po drzemce poszliśmy na miasto. Wzdłuż ulicy dużo sklepów z owocami, butami, kawiarni, targ, dużo samochodów i ludzi. Poszliśmy do poleconej restauracji Bajkal Love. Zjedliśmy pilmeny za 130 rubli, kawa 70 rubli. Potem spacer nad Angarą. Było bardzo wietrznie. Poszliśmy na deptak do nowoczesnego centrum handlowego. Są tu polskie sklepy, m.in. Golden Rose, Sinsay, Reserved. Weszliśmy do pubu piwownia, gdzie produkują swoje piwo rzemieślnicze, które kosztuje 220 rubli/0,5 l, szarlotka na ciepło – 280 rubli, lody – 270 rubli. Zaserwowali nam też likier 50 ml – za darmo z okazji Dnia Kobiet. Wstąpiliśmy do kolejnej knajpki, gdzie grali muzykę na żywo, piwo – 150 rubli. Benzyna 95 oktanów kosztuje w Moskwie 46 rubli, a w Irkucku 44 ruble (ok. 2,7–2,8 zł).

9 marca

Po śniadaniu w hotelu poszliśmy mostem wschodnim na drugą stronę Angary. 7-kilometrowy spacer trwał około 1,5 godziny. W katolickiej katedrze św. Józefa na godz. 14 byliśmy umówieni na wywiad z werbiście księdzem Włodzimierzem Siekiem, wikariuszem generalnym w diecezji św. Józefa w Irkucku. Po rozmowie ksiądz oprowadził nas po katedrze. Daliśmy na ofiarę 200 rubli. Potem tramwajem 1 mostem wschodnim wróciliśmy na drugi brzeg Angary, bilet kosztował 15 rubli. Ksiądz dał nam kilka kontaktów i wskazówek odnośnie do zwiedzania rejonu Bajkału. Na obiad poszliśmy do naszej sprawdzonej i dobrej restauracji Bajkal Love, pierożki buriackie kosztowały 560 rubli. Później oglądaliśmy:

- budynek konsulatu RP,
- kościół katolicki zamieniony na filharmonię,
- cerkiew Zbawiciela,
- sobór Objawienia Pańskiego,
- wieczny płomień,
- bulwary nad Angarą,
- Moskiewski Łuk Triumfalny,
- pomnik auta Waz 2101.

Kakao w kawiarni Ubleble kosztowało 200 rubli. W cukierni ciasto na słodko 4 szt. za 120 rubli.

10 marca

Po śniadaniu poszliśmy kupić bilety na dworzec autobusowy. Bilet do Listwianki kosztował 149 rubli/os., a bilet z Listwianki do Chużyru 1500 rubli/os. W banku wymieniliśmy 300 EUR na 24 150 rubli. Rano było bardzo zimno i zasmrodzone ulice spaliniami ze starych aut i autobusów. O godz. 11.30, wymeldowaliśmy się z hotelu; wzięliśmy rachunek i potwierdzenie meldunku. Poszliśmy na dworzec autobusowy; toaleta za 15 rubli (0,9 zł), marszrutka odjechała punktualnie o godz. 12.30. Przejazd do Listwianki trwał 1,15 godz. Hotel Malinovka In w Listwiance zarezerwowaliśmy już w Polsce przez e-mail za 7500 rubli/2 os. ze śniadaniem za 3 noce. Hotel nad samym brzegiem jeziora. Ładna pogoda, Bajkał cały zamrznięty, tylko Angara jest niezamrznięta. Recepcjonistka podała nam ceny różnych atrakcji dla turystów, np.: 7-godzinna wycieczka poduszkowcem po Bajkale – 6000 rubli/os., bania 3000 rubli/godz., ale trzeba wziąć minimum na 2 godziny. Poszliśmy do biura wycieczkowego, gdzie zaproponowano nam wycieczkę poduszkowcem za 5500 rubli. Nadal wydało nam się to dość drogo i zdecydowaliśmy, że pojedziemy na podobną wycieczkę na Olchonie. Obiad w restauracji za 1800 rubli (ok. 75 zł). Potem spacer wzdłuż całej Listwianki po lodzie. Mogliśmy podziwiać rzeźby lodowe pozostałe z festiwalu lodowego z końca lutego: ślizgawki lodowe, fotele lodowe, szafas lodowy, rzeźby np. sowy itd. Na Bajkale popękany lód w wielu miejscach, ale pokryty śniegiem, w niektórych miejscach odkryty. Poza poduszkowcami po lodzie jeżdżą samochody osobowe, quady i ciężarówki. Są też zaklinowane przez lód statki w zamrzniętym porcie. Na kolację w hotelu zjedliśmy pilmeny w bulionie za 300 rubli/os.

11 marca

Śniadanie w hotelu całkiem smaczne. Po śniadaniu poszliśmy do Muzeum Bajkałskiego, wstęp 310 rubli/os. + 60 rubli za film z nurkowania głębinowego + 290 rubli oglądanie batyskafu. W muzeum akwaria z nerpą, czyli foką bajkalską, mapy jeziora, sejsmograf. Pod mikroskopem oglądaliśmy minirobaczki i kolorowy piasek. Była też sala z eksponatami nurków.

Potem poszliśmy zobaczyć miejsce, gdzie Angara wypływa z Bajkału, tj. na Kamień Czerskiego. Wiał bardzo silny wiatr i padał śnieg. Dojechaliśmy na samą górę kolejką dla narciarzy za 250 rubli w jedną stronę. Pod nami ludzie jeździli na nartach, ale tłumów nie było. Na górze ładne widoki, piękne góry i widok na zamrożnięty Bajkał i wypływającą Angarę. W dół zeszliśmy pieszo. Obiad w restauracji: zupa i drugie danie + kawy i coca-cola – 980 rubli.

12 marca

Po późnym śniadaniu udaliśmy się nad Bajkał, widzieliśmy nurków z ministerstwa spraw wewnętrznych, którzy nurkowali w przeręble. Po bajkałskim lodzie można jechać zaprzęgiem psów – 1700 rubli za ok. 5–7 min. Poszliśmy na pocztę wysłać widokówki do Polski. Znaczek za 50 rubli. Kupiliśmy wcześniej 12 widokówek za 120 rubli (ok. 7 zł). W Listwiance nie ma gdzie wymienić pieniędzy, można tylko wybrać z bankomatu, można płacić kartą. Poszliśmy do nerfarium na show z dwoma nerfami, bilet za 500 rubli. Foki malowały obrazy, klaskały, liczyły – jednym słowem cyrk na kółkach. Spacer po zamrożniętym Bajkale, następnie szukaliśmy teatru na ulicy Ostrowskiego. Dzień wcześniej był tam koncert poezji śpiewanej, niestety teatr był zamknięty, przy bramie stróżował pies. Woda 1,5 l – 75 rubli, drożdżówka z makiem 25 rubli, pączek 21 rubli. W restauracji zamówiliśmy rybę omul z grilla – to typowy przysmak z Bajkału za 440 rubli i kawę za 100 rubli. Ryba sama w sobie dobra. Maślanka w sklepie 60 rubli. Od rodziny dowiadujemy się, jak obecnie wygląda sytuacja w Polsce – jest ogromna panika w związku z koronawirusem, braki w sklepach itp. Tutaj jest bardzo spokojnie, nie ma paniki. W naszym hotelu zjedliśmy kolację – ryż z mięsem, a w zasadzie sam ryż za 300 rubli. W restauracjach najpierw podają mężczyznom, a dopiero później kobietom!

13 marca

Panie, przygotowały nam śniadanie na godz. 7.15, bo o godz. 7.45 mieliśmy marszrutkę do Chużyru na Olchonie z przesiadką w Irkucku. Kierowca zabrał nas spod hotelu, bo dzień wcześniej w informacji turystycznej poprosiliśmy o to. Przesiadka o godz. 9.30 w Irkucku na ulicy Czechowa koło targu, gdzie była toaleta za 15 rubli. Najpierw jechaliśmy przez Irkuck w korkach, potem drogą przez tajgę – jechało się jakby po źle zrobionych przejazdach kolejowych. W połowie drogi ok. godz. 12.00 przerwa na toaletę i jedzenie. Tortilla za 100 rubli. Potem przejazd na wyspę Olchon – 12 km po lodzie. Na Olchonie inny krajobraz: step, półpustynie, droga piaszczysto-kamienista. Pokój w bazie U Nikity za 3600 rubli/2 os. ze śniadaniem + 400 rubli za obiad (szwedzki stół) + 200 rubli za rejestrację od osoby. Po południu spacer na wybrzeże: chorągiewki i słupki burackie, skały. Skała Szamanka – punkt widokowy. W sklepie ta-

nio: woda 1,5 l – 34 ruble, 2 banany – 45 rubli, ruskie ciasteczka – 65 rubli, europejskie ciasteczka – 120 rubli. Bania kosztuje 1000 rubli.

14 marca

Śniadanie. Bufet w godz. 8.00–10.30: owsianka, naleśniki z dżemem i gęstym mlekiem, jajka sadzone, herbata i kawa za 100 rubli. Dostaliśmy potwierdzenie rejestracji. Chużyr to drewniana wioska pięknie położona na wzgórzu. Energię elektryczną doprowadzono tu dopiero w 2004 r., brak asfaltu. Ulice zamrożone – dobrze, bo by było błoto. Są typowe syberyjskie chatynki i nowsze drewniane domy dla turystów. Na ulicach krowy z rogami o długości pół metra gonią psy po ulicach. W naszym pokoju nie otwiera się okno. Wszyscy palą w piecach drewnem i śmierdzi na ulicach. Dogrzewają piecykami olejowymi na energię elektryczną. Przy wiosce klifowe wybrzeże. Na północ zaczyna się park narodowy – wejście za zezwoleniem. Pod bajkalskim lodem miniwybuchy i bulgotanie, a potem przy mnie w trzaskach pojawiła się nowa szczelina na około 3 cm szerokości. W tym sezonie wyjątkowo dużo śniegu, więc nie ma jak zobaczyć, co się dzieje pod lodem. Temperatura w dzień dodatnia, w nocy mróz. W ośrodku bardzo grzeją. Po południu wyszło słońce, lód na ulicy i sople się topią.

15 marca

O godz. 10 wycieczka po północnej części wyspy Olchon za 1400 rubli, w tym 300 rubli prowizja dla hotelu i 300 rubli za wejście do Przybajkalskiego Parku Narodowego. Kierowca, który był Buriatem, uziem po lodzie jechał 60–70 km/godz. do 80 km/godz., czasami zwalniał do 20–30 km/godz. Zatrzymywaliśmy się przy dwóch małych wysepkach, a potem przy Olchonie, gdzie podziwialiśmy jaskinie lodowe. Na wyspie był zarówno las, jak i step. Około godz. 12 lunch koło torosów – ryż z rybą w sreberku plus chleb, herbata i cukierki. Na koniec przylądek Choboj, gdzie również są torosy. Koło miejscowości Piesczanaja znajdują się ruiny łagru, ale kierowca powiedział, że bez sensu tam jechać, bo nic tam nie ma. Powrót 47 km po lodzie. W hotelu kupiliśmy bilety na marszrutkę do Irkucka za 1050 rubli/os. Przez Internet na bloking.com zarezerwowaliśmy też apartament Irk w Irkucku.

16 marca

O godz. 9.30 miała być marszrutka do Irkucka. W końcu kierowca przyjechał po godz. 10. Autobus na prawie 30 osób. Przejazd przez topniejący lód z wyspy Olchon na stały ląd. Na dworzec w Irkucku dojechalśmy na godz. 15.30. A tu wiosna! Dzwoniliśmy do kobiety z apartamentu Irk i ta przyjechała po nas za 10 min. Dojechalśmy pod nowy blok. Apartament na 14 piętře kosztował 2000 rubli (120 zł) za noc za dwie osoby. Bardzo dobre warunki: dwa pokoje, kuchnia, łazienka z pralką, przedpokój, balkon i wszystko co potrzebne. Obiad na kilogramy w lokalnym barze – 235 rubli (14 zł) za 2 mięsa, ziemniaki, surówkę i kompot. Woda mineralna 1,5 l – 33 ruble, sok owocowy 1 l – 50 rubli.

17 marca

Śniadanie w knajpce w naszym bloku kosztowało 535 rubli. Poszedłem do konsulatu RP, gdzie ze względu na koronawirusa poradzono mi, abyśmy jak najszybciej wracali

do Polski, dopóki latają samoloty i jest taka możliwość. W konsulacie powiedzieli, że oficjalnie w Irkucku nie ma koronawirusa, ale nieoficjalnie ludzie mówią różne rzeczy. Poszedłem do biura Aeroflotu w Irkucku. Obsługują tylko dwa stanowiska, a kolejka na godzinę czekania. Lot z 28 marca (w planach mieliśmy jeszcze m.in. Ułan Ude i miejscowość Arszan w Dolinie Tunkirskiej) przesunąłem na 20 marca. Dopłata wyniosła 6070 rubli (ok. 350 zł) za dwa bilety. Przedłużyliśmy pobyt w apartamencie o dwa dni za dodatkowo 3600 rubli – taniej, bo właścicielka nie musiała płacić bookingowi. Anulowaliśmy nocleg w hotelu Matrioszka na 28 marca, anulowaliśmy bilety i kupiliśmy nowe na Flixbusa, po czym okazało się, że autobusy do i z Polski nie jeżdżą od 15 do 25 marca, a mimo to przez ich system można było dokonać rezerwacji! Dopłata wyniosła 20 zł. Zaczęliśmy więc szukać Blablacara z Berlina na 20 marca. Jeden koleś nie odpisywał, więc zarezerwowaliśmy jeszcze drugiego. Potem poszedłem zarejestrować się w urzędzie imigracyjnym, ale tam nikt nic nie wiedział, więc poprosiliśmy właścicielkę apartamentu, aby załatwiła.

Odwiedziliśmy drewniany dom Szubina – najstarszy w Irkucku. Potem targ na ulicy Czechowa, gdzie kupiliśmy imbir plus ciasteczka i galaretki za niecałe 300 rubli. Po południu zjedliśmy obiad w pilmieniarni na ulicy Marksa 39: pierożki z baraniną za 275 rubli.

18 marca

Za dwa śniadania na ulicy Marksa – 85 rubli. Potem poszliśmy do sklepu z ekskluzywnymi pamiątkami na Marksa 29, ale nie warto, bo bardzo drogo. Kupiliśmy na targu 4 bajkalskie herbaty po 200 rubli i różowy kawior 3 puszki po 200 rubli plus czerwony kawior luzem za 500 rubli. Na ulicy pojawiły się pierwsze osoby w масечках, ale było ich niewiele. Na obiad poszliśmy znowu do pilmieniarni. Pilmeny z dziczyzną ze śmietaną 260 rubli i herbatą za 55 rubli. W sklepie 10 jajek za 80 rubli, chleb za 24 ruble i ciemna czekolada, chusteczki mokre za 9 rubli, ruskie batoniki – dobre i tanie, papierosy – 130 rubli. W aptece paracetamol kosztował tylko 16 rubli, ale witamina C w przeliczeniu aż 20 zł.

Co to za zwyczaj, żeby siedzieć w aucie na zapalonym silniku i gadać przez komórkę bądź pisać esemesy? To typowe. W całej Rosji ze względu na koronawirusa zamknięto szkoły na trzy tygodnie i muzea oraz granice dla obcokrajowców. W TV pokazywali prezydenta Władimira Putina oprowadzanego po świetnie działającym centrum anty-kryzysowym. Wszyscy stali jak na szpilkach, a prezydent Putin udzielał rad; propaganda jak w TVP. Wszędzie we wszystkich biurach, hotelach, sklepach grzeją jak zwariowani.

19 marca

Rano spadł w Irkucku śnieg, nastąpił powrót zimy. Miasto jest białe. Z zakładów na przedmieściach dymią kominy. Wygląda jakby były bez filtrów; zanieczyszczenia płyną po niebie na miasto. Z powodu spadających cen ropy rubel bardzo traci na wartości. Autobusem 16C z centralnego rynku pojechałem do lodołamacza-muzeum – 30 min, 20 rubli, bilet wstępu – 120 rubli. Pani włączyła film o historii „Angary” i siostrzanego lodołamacza „Bajkał” (dostępna wersja rosyjska lub angielska) – 25 min. Potem pokazała wejście do maszynowni plus kilka zdjęć i modeli statków i to by było na tyle. Była

taka mgła i tak sywał śnieg, że nie było widać mostu z hydroelektrownią, więc wróciłem do apartamentu. W informacji turystycznej dowiedziałem się, jak jechać do Memoriału Piwowaricha we wsi Piwowaricha – autobus 129 lub 429 za 31 rubli z ulicy Liebknechta, czekałem na przystanku około 40 min. Przejazd około 30 min. Na miejscu nikt nie wie, gdzie jest Memoriał, wskazali mi jakiś pomnik, ale to co innego. Wróciłem więc i musiałem znowu zaczekać 30 min na przystanku. Autobus 430 jechał przez wioskę Dzierżyńsk, w autobusie zgubiłem porządną czapkę! Beacie, kupiłem torebkę za 1000 rubli. Potem pojechałem jeszcze raz autobusem 16 do Iodołamacza, bo poprawiła się pogoda. Przeszedłem się nad tamę, ale z mostu niewiele widać, wszędzie ostrzeżenia, że strefa zamknięta i drut kolczasty. Po drugiej stronie rzeki przy stacji benzynowej widać było instalację hydroelektrowni na Angarze. W drodze na przystanek zobaczyłem kolejny pomnik Lenina (trzeci w Irkucku). Powrót autobusem 2 na centralny rynek 20 min za 20 rubli.

Poszliśmy po raz kolejny do piłmieniarni, bo pizzeria obok, w której chcieliśmy zjeść, była zamknięta – 610 rubli za dwa obiady. W naszym bloku była zepsuta winda, więc trzeba było iść schodami na 14 piętro. Wieczorem poszliśmy jeszcze na ciastka za 450 rubli. Dozorczyni bloku zamówiła nam taxi na lotnisko za 215 rubli na godz. 3 w nocy.

20 marca

Wstaliśmy o godz. 2 w nocy, o godz. 3 pojechaliśmy na lotnisko. Dałem taksówkarzowi 300 rubli. Boeing 737 o czasie, czyli o godz. 5.35 wyleciał do Moskwy, lot trwał 6 godzin. W Moskwie na lotnisku Szeremietjewo przejazd pociągiem podziemnym z terminala B na D. Straż graniczna sprawdziła tylko paszporty, nikt nie pytał o zameldowania, na lotnisku kawa kosztowała 230 rubli, woda mineralna 0,5 l – 150 rubli. Kapsuły do spania kosztowały 500 rubli za godzinę. O godz. 10.10, czyli o czasie wylot Airbusa A321 Aeroflotu na lotnisko Schoenefeld w Berlinie. Lot trwał niecałe 3 godz., przylot o godz. 11. Na lotnisku w Niemczech czekamy na Dominika z Blablacara – 330 zł za dwie osoby. Ma być o godz. 16.30. Nikt ani w Moskwie, ani w Berlinie nie mierzył nam temperatury pod kątem koronawirusa, ani nic innego w tym względzie. Woda 1 l – 3,6 EUR. Dostałem e-mail, że odwołują przejazd flixbusem (przez cztery miesiące nie zwrócili pieniędzy!), a kierowca z wcześniejszego autobusu do Wrocławia i Poznania powiedział, że autobus do Katowic o godz. 23.50 na pewno pojedzie.

O godz. 16.45 przyjechał po nas Dominik z Częstochowy, który pracuje jako kurier w Berlinie. Przekroczyliśmy granicę w Zgorzelcu. Nie sprawdzali żadnych dokumentów, nie było kolejki na granicy, dostaliśmy tylko karty na odbycie 2-tygodniowej domowej kwarantanny. W domu byliśmy przed godz. 23. Dominikowi zapłaciliśmy 350 zł.

INFORMACJE PRAKTYCZNE

Przekraczanie granicy

Dwie rosyjskie wizy załatwiane przez biuro szerokietory.pl wraz z obowiązkowym ubezpieczeniem dla dwóch osób i przesyłką paszportów na adres kosztowały łącznie 1160 zł. Z wizą raczej nie ma problemu, ale jeśli załatwiałoby się samemu (taniej), to

łatwo można popełnić jakiś błąd formalny, za który jest odmowa. Przy przekraczaniu granicy nie było żadnych problemów. Niby jest obowiązek meldunkowy, co załatwiają hotele, ale w drodze powrotnej nie sprawdzano nam meldunków.

Zdrowie i bezpieczeństwo

Nie ma obowiązkowych szczepień. Przez cały czas czuliśmy się bezpiecznie w dzień i w nocy.

Waluty

W dużych miastach nie ma problemu z wymianą euro czy dolarów w banku. Dostępne są bankomaty i jest możliwość płacenia kartą płatniczą. W małych nadbajkałskich miejscowościach nie było możliwości wymiany.

Transport

Bilety na dłuższe trasy autobusem taniej jest kupować bezpośrednio przed odjazdem, ale może zabraknąć miejsc. Transport publiczny w Moskwie, w tym metro (57 rubli) i w Irkucku (15–31 rubli) jest bardzo tani.

Noclegi

Większość noclegów rezerwowaliśmy na miejscu na booking.com. Ale najlepszą opcją jest znalezienie odpowiedniej kwatery na bloking.com i napisanie do hotelu maila z prośbą o rezerwację. Nie każą płacić z góry. W Irkucku szczególnie polecamy apartament Irk – bardzo dobre warunki u miłej właścicielki za stosunkowo niską cenę.

Jedzenie

Ceny w restauracjach i kawiarniach podobne jak w Polsce albo nieco niższe. Także w sklepach ceny żywności podobne lub niższe. Woda mineralna 1,5 l – 33–75 rubli. Podwójna cena na lotniskach.

Komórki i Internet

Połączenia komórkowe z Rosji są drogie, ale można dzwonić przez Internet. W hotelach i restauracjach nie ma problemu z darmowym wi-fi. Widokówki – 12 rubli, znaczki do Polski – 50 rubli.

Pogoda i różnica czasu

W marcu w Moskwie temperatura była dodatnia i nie było śniegu. W Irkucku i nad Bajkałem – w nocy i nad ranem był przymrozek, w dzień – dodatnia temperatura. Dwa razy padał śnieg. Poza tym pogoda była dość ładna. Różnica czasu pomiędzy Polską a Moskwą wynosi 2 godziny, a pomiędzy Polską a Irkuckiem – 7 godzin, które należy dodać.

Język

Jadąc do Rosji dobrze jest znać przynajmniej podstawy języka rosyjskiego (aby móc przeczytać napisy). W niektórych miejscach szczególnie młodzież mówi po angielsku.

Korea Południowa. Podróż poślubna – samolotem, pociągiem, autobusem, samochodem i pieszo



Termin: 13 czerwca – 2 lipca 2019 r.

Koree są dwie – niestety – Północna i Południowa. Jeden naród, ostatecznie rozdarty krwawą wojną przed blisko siedemdziesięciu laty, która to wojna do dziś bezpośrednio wpływa na życie każdego Koreańczyka – niezależnie od tego, po której stronie granicy koreańsko-koreańskiej żyje.

My byliśmy w Republice Korei, zwanej potocznie Koreą Południową. Choć pobraliśmy się 1 marca, to podróż poślubną dużo wcześniej zaplanowaliśmy na czerwiec – wówczas w Korei jest już pełnia lata, natomiast nie ma jeszcze wielkich upałów, które panują przez większość lipca i sierpnia.

RELACJA Z PODRÓŻY

13 czerwca

Jedyną szybką drogą dostania się z Polski do Korei jest droga powietrzna. Ponieważ była to dla nas wyjątkowa podróż, zdecydowaliśmy się na lot bezpośredni z Warszawy na lotnisko Seul-Inczon (7000 zł za bilety dla dwóch osób w obie strony, lot trwał 10,5 godz.; można polecieć z przesiadką znacznie taniej, jednak wtedy z reguły podróż jest dużo dłuższa i zmusza do noclegu na lotnisku przesiadkowym, np. w Pekinie). Każdy fotel w samolocie wyposażony był w monitor ze słuchawkami, na którym można było przez całą podróż oglądać filmy (dostępnych była przeszło setka, w większości nowości) – obejrzałem ich 4.

14 czerwca

Ze względu na inną strefę czasową (plus 7 godz. względem Polski), startując z Warszawy o godz. 16, w Seulu byliśmy następnego dnia o godz. 9.30 rano. Zmiana czasu nie zrobiła na Agnieszce większego wrażenia – nie była to dla niej pierwsza tak daleka podróż. Ja natomiast po raz pierwszy byłem poza Europą, toteż przez pierwszy tydzień pobytu w Korei miałem problemy z zasypianiem i wyspaniem się.

Z lotniska Seul-Inczon do centrum Seulu kursują regularnie pociągi, toteż nie mieliśmy problemu z dostaniem się do miasta. W Seulu spędziliśmy tylko jedną noc (w hostelu Tommy, 65 000 KRW) – zwiedzanie stolicy zostawiliśmy sobie na później. Wieczorem tylko wybraliśmy się na kolację z koleżanką Agnieszki – Ginger (Chinka, która przyjechała do Korei na wymianę studencką i już tam została).

Przez kolejne dwa tygodnie zatoczyliśmy dookoła Korei Południowej dwa „kółka” – za każdym razem zaczynając i kończąc w Seulu. Trasę naszej podróży wyznaczały miejsca zamieszkania Agnieszki przyjaciół (Koreańczyków). Agnieszka przez jeden semestr studiowała w Korei, w ramach wymiany studenckiej, na Uniwersytecie Yeungnam koło Daegu.

15 czerwca

Z samego rana udaliśmy się autobusem do Jeonju, gdzie spotkaliśmy się z Agnieszki przyjaciółkami – Hyeran i Soehee – które przez semestr studiowały na Uniwersytecie Warszawskim.

Do drugiej połowy XX w. Korea była bardzo biednym krajem, toteż mało kogo było stać na wznoszenie murowanych budowli. W kraju dominowała zabudowa drewniana, tak więc do naszych czasów zachowały się dosłownie pojedyncze zabytki architektury, z których większość to i tak rekonstrukcje pochodzące z ostatniego pół wieku. W związku z powyższym, w Korei praktycznie nie ma starych miast w rozumieniu europejskim. Zdarzają się niemal wyłącznie pojedyncze obiekty otoczone nowoczesną zabudową mającą mniej niż 50 lat. Do jednego z wyjątków należy właśnie miasto Jeonju. W centrum znajduje się rozległy zespół setek drewnianych, parterowych budynków w tradycyjnym, koreańskim stylu. Pośród nich dominują okazałe zabudowania królewskiego pałacu. Tętniący życiem główny deptak swoim charakterem przypomina zakopiańskie Krupówki, z tym że niemal w całości utrzymana jest tradycyjna architektura. W całym zabytkowym centrum (podobnie jak w innych miastach i pałacach) można spotkać wielu turystów (głównie Azjatów, rzadko Europejczyków) przebranych w tradycyjne koreańskie stroje. Znalezienie wypożyczalni takich strojów w pobliżu muzeów i pałaców nie stanowi problemu – osobom przebranych przysługują darmowe bilety.

Osobliwością Jeonju (jak na Koreę) jest XIX-wieczna katedra rzymskokatolicka, wzniesiona w typowym, europejskim stylu neoromańskim.

Nasz jeden nocleg w Jeonju był chyba najbardziej wyjątkowy spośród wszystkich – mieszkaliśmy w autentycznym, tradycyjnym, koreańskim domu sprzed 100 lat, zaadaptowanym na pokoje gościnne (Yangsajae, 60 000 KRW). Każdy pokój dysponował własną łazienką. Rano można było zjeść tradycyjne koreańskie śniadanie przygotowane przez gospodarzy.

16 czerwca

Po południu udaliśmy się autobusem do liczącego półtora miliona mieszkańców Gwangju. Mimo dużych rozmiarów, w mieście praktycznie nie ma zabytków – jak w większości miast dominują współczesne wieżowce.

Korea Południowa liczy o ponad 1/4 więcej mieszkańców niż Polska, natomiast zajmuje trzykrotnie mniejszą powierzchnię, z czego 70% stanowią góry. Z kolei góry niemal w całości porośnięte są lasami. Tak więc na obszarze dziesięciokrotnie mniejszym od Polski zmieścić się musi o 1/4 więcej ludzi. Efektem tych uwarunkowań społeczno-geograficznych jest współczesne koreańskie budownictwo – ciasno „upakowane” wieżowce, rzadko liczące mniej niż 20 pięter, a zwykle 30 i więcej, tworzące monumentalną panoramę każdego większego miasta.

W Gwangju nocowaliśmy w eleganckim hotelu w centrum (Ballentine Business Hotel, przecena z 199 000 KRW na 72 000 KRW).

17 czerwca

W południe udaliśmy się autobusem do Changwon, gdzie spotkaliśmy się z Seugynem i jego dziewczyną (Seugyn jest absolwentem Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie).

We czwórkę zdobyliśmy pieszo malowniczy wodospad nieopodal miasta, a wieczorem Seugyn zaprosił nas do restauracji na tradycyjną, koreańską kolację.

My, Polacy, nie zawsze potrafimy docenić dobrą kuchnię. Ponieważ polska kuchnia jest naprawdę bardzo smaczna, „dobra kuchnia” jest dla nas czymś codziennym, naturalnym. Tak więc z reguły zwracamy uwagę dopiero na „złą” kuchnię. Natomiast kuchnia koreańska jest naprawdę rewelacyjna.

W dobrych restauracjach płaci się jedynie za danie główne, przystawki zaś (a jest ich nierzadko kilkanaście różnych) kucharka donosi w miarę jak gościom się kończą – tak, że najeść można się do woli. Obiad w dobrej restauracji można zjeść już za równowartość ok. 40 zł.

Wszędzie w Korei można zjeść to wszystko, co żyje w otaczających ją morzach. Jednak niemniej popularne są wołowina, wieprzowina czy drób. Wszystko zawsze rewelacyjnie, mocno przyprawione, często na ostro i słodko.

Nocowaliśmy w hotelu French Code (48 000 KRW).

18 czerwca

Wspólnie z Seugynem i jego dziewczyną zwiedziliśmy Narodowe Muzeum Morskie w Busan. Choć jest ono dość ciekawe, to jednak polskie muzea z reguły posiadają zbiory dużo bogatsze.

Nocowaliśmy w hotelu nieopodal głównego dworca kolejowego (hotel La Idea Busan Station, 50 000 KRW).

19 czerwca

Pociągami udaliśmy się do Gyeongju, po którym następnie przemieszczaliśmy się autobusami.

Choć wolimy podróżować koleją, to mieliśmy do tego względnie mało okazji. Seul z głównymi miastami jest skomunikowany kolejowo bardzo dobrze – kursuje pomiędzy nimi po kilkanaście albo więcej pociągów dziennie, ale połączeń kolejowych innych miast między sobą jest względnie mało – tam dominują autobusy.

W Gyeongju znajduje się najstynniejsza południowokoreańska świątynia – Bulguk-sa, będąca buddyjskim klasztorem. Od niej zaczęliśmy zwiedzanie. Podobnie jak w innych świątyniach, zachwyca bogactwo kolorów malowideł na ścianach i form, jakie architekci nadali poszczególnym elementom – coś całkowicie różnego od wszystkiego, co można spotkać w Europie.

W samym mieście zachowały się dość liczne, parterowe, tradycyjne koreańskie domy, utworzono skansen. Na szczególną uwagę zasługuje kamienna wieża Cheom-seongdae – starożytne obserwatorium astronomiczne, a także zespół kilkudziesięciu grobowców królów i innych magnatów. Wyglądają one jak ogromne (wysokie nieraz na 10 metrów) kopce kretów porośnięte trawą.

Przez przepływającą przez miasto rzekę przerzucony jest wspaniały drewniany most Woryeonggyo, swoimi formami architektonicznymi nieustępujący najwspanialszym świątyniom i pałacom.

Zachował się także pałacowy park – Wolji. Choć pałac Donggung (jak i większość zabytków) nie przetrwał do naszych czasów (współcześnie odtworzono trzy wielkie ogrodowe altany), to park, otaczający jezioro, jest wspaniale utrzymany i niesamowicie podświetlony – dając w nocy niezwykle spektakl, w którym malowniczo współgrają światło, drzewa i woda.

Nocowaliśmy w pensjonacie Good Dream (33 000 KRW).

20 czerwca

Przed południem, znowu autobusem, udaliśmy się do Daegu.

Głównym punktem tej wycieczki był Uniwersytet Yeungnam w Gyeongsan – gdzie przed laty Agnieszka spędziła pół roku studiując. Oprócz kampusu, na szczególną uwagę zasługuje niewielki skansen, w skład którego wchodzi kilkanaście wiejskich chałup, będących częścią uniwersytetu.

Nocowaliśmy w hotelu Hera (59 000 KRW).

21 czerwca

Rano, po wymeldowaniu się z hotelu, udaliśmy się komunikacją miejską do stóp Góry Palgong, gdzie wsiedliśmy w kolej gondolową. Ze szczytu rozpościerał się wspaniały widok – wszędzie wokół góry, góry i góry, wszystkie porośnięte zielonymi lasami. W obrębie kompleksu górnej stacji kolei znajduje się bar, w którym zjedliśmy smaczny obiad (w Korei niełatwo jest zjeść coś niesmacznego).

Po południu szybką koleją wróciliśmy z Daegu do Seulu, na spotkanie z Agnieszki przyjacielem – Sangyeopem. Sangyeop zabrał nas na kolację w wyjątkowe miejsce, którego historia zasługuje na szersze omówienie.

Jeszcze do drugiej połowy XX w. większość mieszkańców Seulu zamieszkiwała ubogie dzielnice, posiadające chaotyczny układ ulic i parterowe, drewniane domy, do których dość dobrze pasuje pochodzące z języka angielskiego określenie „slumsy”. W miarę, jak kraj stawał się zamożny, kolejne „dzielnice biedy” były w całości burzone, wytyczano nowe, szerokie ulice i budowano nowoczesne wieżowce. Pojedyncze takie dzielnice przetrwały do naszych czasów i – zamiast zostać zastąpione „nowoczesnością” – zostały potraktowane jako obszary zabytkowe. Choć stare domy – ze

względem na zły stan techniczny – w większości rozebrano, to zostały one odbudowane w identycznych, tradycyjnych formach jak oryginały. W ten sposób pomiędzy wielkimi wieżowcami zachował się „kwartał” zabudowy, poprzecinany około trzydziestoma nieregularnie przebiegającymi, wąskimi uliczkami, nieraz mającymi mniej niż 2 m szerokości. Przy uliczkach znajduje się zwarta, parterowa, drewniana zabudowa. A w budynkach – liczne bary, restauracje, kawiarnie, galerie sztuki, warsztaty lokalnych artystów, rzemieślników, sklepy z nietypowym asortymentem.

Wzdłuż jednej z takich uliczek ustawionych było kilkanaście metalowych beczek z przymocowanymi blatami, a przy każdej z nich po 2–4 krzesła – „ogródek” jednej z lokalnych restauracji, w której zamówiliśmy kolację. Stół wykonany z beczki służył jako grill – kelner wrzucił do środka kilka rozżarzonych bryłek węgla i po chwili przyniósł, zamówione przez nas, surowe mięso. Każde z nas mogło sobie upiec je w takim stopniu, w jakim miało ochotę (rozwiązanie takie jest bardzo popularne w koreańskich restauracjach, również tych w Polsce).

Siedząc przy stoliku pod ścianą budynku, w wąziutkiej uliczce, przechodnie, których było mnóstwo, niemal nas trącali. Cała dzielnica tętniła życiem.

Po głównym posiłku udaliśmy się do pobliskiej kawiarni i zamówiliśmy trzy desery lodowe – po jednym dla każdego z nas. Naszym błędem było to, że nie sprawdziliśmy ich składu. I tak mieliśmy: kruszony lód ze słodką fasolą (pycha!), kruszony lód z orzeszkami i jakąś słodką polewą (też pycha) oraz kruszony lód z... sosem winegret (a fuj!). Nam, Polakom, nie przeszło przez myśl, że ktoś deser lodowy może polać sosem winegret. Na szczęście Sangyeop ulitował się nad nami i sam zjadł deser, którego ani ja, ani Agnieszka nie byliśmy w stanie przełknąć.

Nocowaliśmy w hostelu nieopodal wspomnianej dzielnicy (Full House, 51 000 KRW). Niestety, w budynku (a na pewno w naszym pokoju) panowała wilgoć i było trochę stęchłe powietrze (na szczęście przytrafiło się nam to jedynie raz w Korei).

22 czerwca

Rano Sangyeop zabrał nas i swoją dziewczynę Jeongmin samochodem do Sokcho, gdzie spędziliśmy kolejne dwie noce.

Sokcho to elegancka, turystyczna miejscowość, położona na wschodnim wybrzeżu, nieopodal granicy z Koreą Północną, nad Morzem Wschodnim (tak Koreańczycy nazywają Morze Japońskie). Przez przypadek trafiliśmy na dostrzeżony przeze mnie targ rybny. Znajdował się on w ogromnej hali, w piwnicy budynku w centrum miasta, mającej ok. 1000 m² powierzchni. W setkach akwariów pływało to wszystko, co żyje w otaczających Koreę morzach: przeróżne gatunki ryb, krabów, homarów, ośmiornic – których większości nie byliśmy w stanie nawet nazwać. „Zbiory” targu były bogatsze niż gdyńskiego Oceanarium – a każdy żywy „eksponat” można było kupić i nawet poprosić o przyrządzenie na miejscu, by zjeść go przy jednym z licznych stolików.

Następnie udaliśmy się w góry wschodniokoreańskie, do Parku Narodowego Seoraksan. Tam wjechaliśmy koleją linową na górę Seorak (kor. Seorak-san) – najwyższy szczyt Gór Wschodniokoreańskich. Rozpościera się z niego zapierający dech w piersiach widok na Sokcho, Morze Japońskie i znajdujące się po horyzont góry. Szczyty widoczne na północy są już po drugiej stronie granicy.

23 czerwca

Cały dzień spędziliśmy wspólnie z naszymi koreańskimi przyjaciółmi, zwiedzając Sokcho i wólczać się po okolicy.

Wieczorem Sangyeop zawiózł nas do niewielkiej wioski, gdzie mieliśmy zarezerwowane kolejne dwa noclegi w urokliwym hotelu Seorak Pension (80 000 KRW za 2 noce). Tu się rozstaliśmy z przyjaciółmi i kontynuowaliśmy podróż już tylko we dwoje.

24 czerwca

Z samego rana wyruszyliśmy pieszo, by zdobyć pobliski szczyt Ulsanbawi. Dzień był wyjątkowo słoneczny i upalny.

Górskie szlaki piesze w Korei są bardzo dobrze przygotowane i oznakowane, jednak momentami naprawdę nas zaskakiwały – w najtrudniejszych momentach znajdowały się... stalowe schody. Niektóre liczyły nawet po kilkaset metrów. Zawsze były zabezpieczone barierką, a stopnie miały pokryte specjalnym, gumowym, antypoślizgowym materiałem.

Jako doświadczeni podróżnicy, nierzadko chodzący po górach, zabraliśmy ze sobą ciepłe ubrania, z których w ogóle nie skorzystaliśmy. Im byliśmy wyżej, tym było cieplej – ot, taka akurat była pogoda.

Po drodze minęliśmy niewielką świątynię buddyjską, wzniesioną na zboczu. Była ona oczywiście w tradycyjnym, koreańskim stylu architektonicznym.

Wejście i zejście z Ulsanbawi zajęło nam prawie cały dzień. Ze szczytu rozpościerał się równie malowniczy widok, co z pobliskiej góry Seorak.

Na większości znaków ostrzegających turystów przed niebezpieczeństwami w Parku Narodowym Seoraksan widnieje podobizna niedźwiedzia himalajskiego, stylizowanego na personifikowaną postać przesympatycznego misia z kreskówki. Oprócz napisów w języku koreańskim i angielskim, każdy taki miś swoimi gestami, pozą i miną prezentuje lokalne niebezpieczeństwo – jak np. spadające skały czy pobliskie urwisko. Niestety, w przeciwieństwie do przesympatycznego rysunkowego misia himalajskiego, prawdziwy niedźwiedź himalajski to śmiertelnie niebezpieczne, agresywne zwierzę. W Korei zamieszkuje ono jedynie Góry Wschodniokoreańskie i raz na jakiś czas zdarza się śmiertelny wypadek ataku niedźwiedzia na turystę, toteż w tych rejonach obowiązuje zakaz przebywania w górach po zmroku.

Charakterystyczna, biała litera V na tle czarnego futra na piersi tego gatunku dodaje mu wyjątkowego uroku. W przestrzeni publicznej Korei powszechne są jego pomniki, grafiki, w sklepach można łatwo kupić maskotkę.

25 czerwca

Właściciel hotelu podwiózł nas rano swoim samochodem na dworzec autobusowy, skąd pojechaliśmy do Gangneung, gdzie w hotelu Pine City (60 000 KRW) spędziliśmy kolejną noc.

Udaliśmy się na miejską plażę. Wzdłuż niej ciągnie się ulica Anmok Coffee – blisko kilometrowej długości promenada, przy której znajdują się dziesiątki najróżniejszych lokali gastronomicznych. Przede wszystkim jest tam ogromna liczba kawiarni, ale można też trafić na bary szybkiej obsługi czy eleganckie restauracje. Postanowiliśmy zjeść

tam coś, czego jeszcze nie jedliśmy – amerykańskiego koreańskiego burgera. I nie zawiedliśmy się – był bardzo smaczny, i choć wyglądał jak w Europie, to smakował trochę inaczej – przyprawiony był ewidentnie pod gust Koreańczyków.

26 czerwca

Z samego rana udaliśmy się autobusem do Gangneung Unification Park – „Muzeum Wojska Koreańskiego”.

Plenerowa ekspozycja gromadzi kilkadziesiąt sztuk sprzętu bojowego używanego niegdyś przez armię Korei, także Północnej, część pamięta wojnę koreańską, a nawet II wojnę światową. Są tu czołgi, działa, amfibie, transportery opancerzone, samoloty (w tym dawny „Air Force One” prezydenta Korei). Pomiedzy nimi wznosi się kilka pomników upamiętniających ofiary i żołnierzy walczących w wojnie koreańskiej. Nie-wielka ekspozycja we wzniesionym na terenie Parku budynku prezentuje pokrótce historię wojny.

Muzeum posiada w swych zbiorach dwa wyjątkowe eksponaty: ROKS Jeonbukham – amerykański niszczyciel z czasów II wojny światowej, który walczył w wojnie na Pacyfiku, a po kapitulacji Japonii został przekazany (jak wiele innych tego typu jednostek) przez Amerykanów Marynarce Wojennej Korei. Ponieważ w służbie był jeszcze do lat 90., przeszedł liczne modernizacje, przez co niewiele się w nim zachowało „materii” z czasów II wojny światowej – praktycznie całe wyposażenie jest dużo nowocześniejsze. Mimo to jest on bardzo ciekawy.

Drugim eksponatem jest północnokoreański, szpiegowski okręt podwodny, który w 1996 r. utknął na skałach u wybrzeży Korei Południowej i został przez nią przejęty. Obecnie w całości jest udostępniony do zwiedzania. Wejście do środka stanowi niecodzienne doświadczenie, spotęgowane przez kontrast z sąsiednim – południowokoreańskim – niszczycielem. Jednostka Północy jest w porównaniu z okrętem z Południa niesamowicie archaiczna – widać przepaść technologiczną pomiędzy obydwojema krajami. Także warunki bytowe dla załogi były bardzo złe.

Wzdłuż ogrodzenia Muzeum przebiega nadmorska linia kolejowa. Niestety – w pobliżu Muzeum nie ma żadnego przystanku kolejowego, toteż żeby wsiąść do pociągu, musieliśmy wrócić autobusem do Gangneung. A było warto.

„Kolej Nadmorska” (ang. *Sea Train*) – to licząca 60 km linia kolejowa, biegnąca z miasta Gangneung na południe, wzdłuż wybrzeża Morza Japońskiego, momentami dosłownie kilka metrów od granicy między lądem a wodą. Podróż pociągiem daje niezapomniane widoki nadmorskich krajobrazów i wrażenie, jakby momentami jechało się po prostu po morzu. Dla poprawienia warunków do podziwiania widoków, część pociągów składa się z wagonów, w których siedzenia ustawione są przodem do okien.

Niestety, wzdłuż części pięknego wybrzeża na północy Korei Południowej rozciągają się pełne drutów kolczastych zasieki – ze względu na powtarzające się incydenty szpiegowskie ze strony Północy.

Wieczorem, szybką koleją KTX, wróciliśmy z Gangneung do Seulu, w którym pozostaliśmy już do końca naszego pobytu w Korei.

27 czerwca – 2 lipca

Kolejne 5 dni spędziliśmy w Seulu.

Mieszkaliśmy u Agnieszki przyjaciela – Sangyeopa, którego akurat nie było w mieście. Mieszkanie było bardzo małe, co jest powszechne w całej Korei, ze względu na bardzo wysokie ceny nieruchomości, wynikające z niedostatku ilości gruntów pod zabudowę. Miało jakieś 10 m², składało się z niewielkiego przedpokoju, łazienki i pokoiku z aneksem kuchennym. Mieściło się w trzydziestopiętrowym wieżowcu. Z okna widok był jedynie na sąsiedni wieżowiec.

Obejrzelśmy dwa królewskie pałace – Changdeokgung (3000 KRW) oraz Gyeongbokgung (3000 KRW). W obydwu skorzystaliśmy z możliwości zwiedzania z przewodnikiem (jest to w cenie biletu, wycieczki są o konkretnych godzinach każdego dnia, także w języku angielskim).

Każdy z pałaców składa się z kilkudziesięciu budynków, w większości parterowych, wzniesionych w tradycyjnym, koreańskim stylu architektonicznym – pełnym wykonanych w drewnie, kolorowych zdobień. Zajmują one rozległe tereny w centrum Seulu – ogromna przestrzeń w ich obrębie stanowi niesamowity kontrast dla zwartej, ciasnej zabudowy składającej się w większości z wieżowców. Zabytkowe pałace otoczone są nowoczesnymi dzielnicami biznesowymi – ogromnymi budynkami ze stali, szkła i betonu – jakby pałace, właśnie przed chwilą, ktoś przeniósł w czasie ze średniowiecza do tętniącego życiem Seulu XXI wieku.

Byliśmy w Centrum Sejong na musicalu „Xcalibur” – będącym adaptacją legendy o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu. Staranność wykonania, bardzo wysoki poziom artystyczny, wspaniałe dekoracje i muzyka – z pewnością zachwyciłyby każdego.

Koleżankom Agnieszki udało się także zdobyć dla nas bilety na koncert zespołu FT Island – dzięki czemu mieliśmy okazję posłuchać na żywo koreańskiego rocka.

Zwiedziliśmy niewielkie Muzeum Marynarki Wojennej Korei Południowej (Seoul Battleship Park), gdzie udostępnione są do zwiedzania wielki niszczyciel, łódź patrolowa i niewielki okręt podwodny, do których można wejść do środka. Gratka dla miłośników militariów.

Wyjątkowa była jednodniowa wyprawa do twierdzy Namhansanseong. Jej początki sięgają średniowiecza. Wzniesiona została na wzgórzu nieopodal Seulu. Jest ogromna – obwód jej murów wynosi 12 km. Przez stulecia służyła jako „zapasowa” stolica, do której mógł ewakuować się król, jego dwór i najważniejsi urzędnicy państwowi. W przypadku ataku wroga na Seul, miała umożliwić przetrwanie wielomiesięcznego oblężenia.

Wielokilometrowy mur obronny z licznymi bramami znajduje się w doskonałym stanie – stale poddawany zabiegom konserwacji, umożliwia zwiedzającym wielogodzinne spacery połączone ze wspaniałymi widokami na okolicę – na położony w dole Seul i liczne wzgórza naokoło.

2 lipca

Pociągami udaliśmy na lotnisko Seul-Inczon, skąd samolotem wróciliśmy do Warszawy. Podróż powrotna wyglądała podobnie do tej z Warszawy do Seulu, z tą różnicą, że dzień trwał, trwał i trwał – lecąc na zachód, „goniliśmy” Słońce, więc dzień był dłuższy od normalnego o 7 godzin.

Co jeszcze można powiedzieć o Korei?

Ceny w Korei są porównywalne z cenami w Polsce. W lokalach gastronomicznych i za produkty spożywcze zapłacimy podobnie jak u nas. Noclegi kosztowały nas wyraźnie mniej – głównie dlatego, że hotele, hostele czy inne pensjonaty rezerwowaliśmy dzień wcześniej lub nawet tego samego dnia. Takie oferty na ostatnią chwilę miały nieraz nawet 60% zniżki. Korzystaliśmy głównie z portalu internetowego booking.com.

Korea Południowa funkcjonuje jak wyspa. Z trzech stron otoczona jest morzami, z czwartej zaś granicą z Koreą Północną. Nie ma w niej przejść granicznych ani żadnej możliwości jej przekroczenia. Nie istnieje nawet ruch towarowy. Wszelki przepływ ludzi i towarów odbywa się wyłącznie drogą morską lub powietrzną.

Polscy operatorzy telefonii komórkowej liczą sobie dość drogo za połączenia z krajem – rozmowa (czy to wykonana, czy odebrana) to koszt rzędu kilku zł za minutę. SMS – ok. 2 zł. Przesył danych jest jeszcze droższy. Jednak w Korei nie ma większego problemu z dostępem do bezpłatnego wi-fi – zwłaszcza w lokalach gastronomicznych czy hotelach, ale także nierzadko w środkach komunikacji czy po prostu na ulicy.

Język koreański posiada swój własny alfabet, który w swoim kształcie w niczym nie przypomina alfabetu łacińskiego. Jednak jego założenia są bardzo podobne – każdemu z 24 znaków odpowiada określona głoska, które to głoski składają się na całe wyrazy.

W dużych miastach raczej wszystko zapisywane jest zarówno po koreańsku, jak i po angielsku. Na prowincji te informacje, które mogą być niezbędne dla obcokrajowców, często też są po angielsku. Znajomość języka angielskiego wśród Koreańczyków jest dość powszechna, choć nie wszyscy nim władają.

Koreańczycy są wielkimi miłośnikami kawy. W kawiarniach i innych lokalach gastronomicznych napój ten jest równie dobry jak w Polsce. Natomiast Korea to prawdziwy raj dla miłośników kawy mrożonej. W każdym, nawet najmniejszym sklepie spożywczym, znajduje się przynajmniej jedna, cała lodówka, zawierająca wyłącznie kawy mrożone – co najmniej 30 rodzajów. W dużych sklepach wybór ten jest jeszcze większy. I kawy te są naprawdę rewelacyjne. Każdego dnia pobytu wypijałem jedną albo dwie takie kawy i nie zdarzyło mi się pić dwa razy tej samej.

Mapy Google nie działają zbyt dobrze na terenie Korei. Można za to korzystać z bardzo podobnej koreańskiej aplikacji – Naver Maps. Jest ona dostępna w języku angielskim i znacznie ułatwia podróżowanie. Przy proponowanych środkach transportu podane są od razu także ceny biletów.

Aby ułatwić sobie korzystanie z transportu publicznego w całej Korei, już na początku podróży warto zaopatrzyć się w kartę na pieniądze elektroniczne. Działa ona jak polska karta miejska, z tą różnicą, że wpłaca się na nią pieniądze, które później są z niej pobierane przy każdym przechodzeniu przez bramki w metrze czy przy wsiadaniu do autobusu. Należy pamiętać o tym, aby kartę odbijać zarówno przy wsiadaniu, jak i przy wysiadaniu – jest to obowiązkowe w Seulu (przy wysiadaniu doliczana jest nieraz dodatkowa opłata, jeśli nasza podróż była w jakieś odległe miejsce), a także dlatego, iż dzięki temu nie trzeba płacić podwójnie, jeśli przesiadamy się od razu np. z metra do autobusu miejskiego. Kartą tą można płacić także w taksówkach oraz sklepach.

Nowa Zelandia – Wyspa Północna



Termin: Przełom października i listopada 2017

Uczestnik: 1 osoba – autor

Samolot: linia lotnicza Emirates Airlines, Warszawa – Dubai Int (5 godz. 45 min); Dubai Int – Auckland Int (18 godz. 30 min, stop 1 – Melbourne)

Auckland Int (terminal 1) – Dubai Int (terminal 3) – (20 godz. 10 min, stop 1 – Brisbane); Dubai Int – Warszawa (6 godz. 15 min).

Wymiana: 1 dolar nowozelandzki (NZD) = 0,76 USD; 1 NZD = 0,642 euro (punkt na lotnisku – odliczono 11 NZD tzw. commission) – kurs z 10.2017; nie było opłaty commission gdy wymieniałem w banku w Rotorua.

Noclegi: VR Auckland City, 188 Hobson Street, Auckland – 165 NZD (apartament typu studio); Hotel Wylie Court, Rotorua – cena 1 noc – 135 NZD; Parnell Pines – 320 Parnell Road Parnell, Auckland – 1 noc – 119 NZD.

Transport: Taksówka z międzynarodowego lotniska w Auckland do centrum miasta: 70 NZD; według informacji turystycznej jest jeszcze Skybus, ale w dni powszednie (co 10 minut) i weekendy (co 15 minut) jeździ w godzinach od 6 do 19; z lotniska kursuje też autobus nr 380, który dojeżdża do Onewunga Transport Centre, gdzie trzeba się przesiąść do kolejnego autobusu do ścisłego centrum.

Wynajęcie auta Fiat Grande Punto z automatyczną skrzynią biegów na 5 dni – 771,33 PLN (bez pełnego ubezpieczenia) w firmie Jucy Group – wzięcie i oddanie w tym samym miejscu przy lotnisku w Auckland (trzeba było poczekać przy wejściu nr 11 na shuttle bus) dodatkowo 40 NZD za GPS (8 NZD za dzień) – uwaga płatne drogi są nieliczne (www.tollroad.govt.nz) – dwa w pobliżu miejscowości Tauranga i jeden odcinek 7,5 km, gdy jedzie się autostradą na północ (tzw. Norther Gateway Toll Road) pomiędzy Silvedale i Puhoi.

Po Auckland można się też poruszać autobusem „Hop on, hop off explorer”, który pozwala poznać 14 najpopularniejszych atrakcji tego miasta; kursuje od 9.00 do 17.00 i w zależności od sezonu letniego lub zimowego podjeżdża co 30–60 minut; są 2 pętle

– czerwona i niebieska, które krzyżują się w Auckland Museum; cena za jednodniowy pass 45 NZD

Fullers Gray – bilet na statek wraz z przewodnikiem – 85 NZD z Auckland na wyspę Tiritiri Matangi; benzyna: 1 ltr = 1,869 – 2,039 NZD; autobus miejski – nr 655 – 3,50 NZD; nr 309 – 3,50 NZD; nr 302 z dzielnicy Onehunga do centrum – 5,50 NZD.

Pociąg (www.greatjourneysofnz.co.nz) – przez Północną Wyspę biegnie tylko jedna linia kolejowa z kursującym pociągiem pasażerskim Northern Explorer pomiędzy Auckland i Wellington. Wyjeżdża z Auckland w poniedziałek, czwartek i sobotę o godzinie 7.45 i w Wellington, stolicy kraju jest o godzinie 18.25. W drugą stronę kursuje we wtorki, piątki i niedziele – wyrusza z Wellington o 7.55 rano i w Auckland jest o godzinie 18.50. Po drodze widzi się z okna – jak dopisze pogoda – trzy szczyty Tongariro National Park: Tongariro, Ngauruhoe i Ruapehu.

Ceny promów z Auckland na sąsiednie wyspy w zatoce Hauraki lub okolice Auckland (tam i z powrotem w ten sam dzień): Devonport (15 min) – 12,50 NZD, Waiheke Island (35 min) – 38 NZD, Rangitoto Island (25 min) – 33 NZD, Rotoroa Island (75 min) – 52 NZD; Tiritiri Matangi Island (75 min) – 75 NZD; Coromandel Town (120 min) – 75 NZD; rejs po porcie w Auckland Waitemata Harbour – 90 minut – 45 NZD.

Ceny w sklepie

Duży hipermarket – PAKinSAVE (Rotorua): długa bułka paryska – 1,99 NZD, cena jednej małej bułki – 0,55 NZD; 4 minibagietki – 2,50 NZD; 6 małych jogurtów – 3,99 NZD; opakowanie humus z pesto 200 g – 2,89 NZD; plasterki sera 160 g – 4,89 NZD; kilogram bananów – 2,99 NZD; kiwi złote – paczka 8 sztuk – 5,99 NZD; paczka herbatników – 250 g (Griffin gingernuts) – 1,69 NZD; Nut Bar Chocolate Apricot 192 g – 2,79 NZD; Kiwi Blue Water 1,5 ltr – 0,94 NZD; nektar z mango (1 l) – 1,49 NZD; sklep w Auckland – Coca-cola 1,5 l – 3,50 NZD, woda mineralna 1,5 l – 2,69; 6 jabłek – 1,99 NZD

Ceny w restauracji lub kawiarni

Rumi Limited, Auckland – restauracja irańska: Ghormeh Sabzi – 23 NZD (jagnięcina w sosie zielonym z pietruszki z ryżem); Kashk Badejman – 10 NZD; Imbryk herbaty czarnej z kardamonem i cynamonem – 7 NZD.

Flat White (duże) – 5,80 NZD (Wai-O-Tapu); 4,90 NZD (Auckland airport); 0,5 l wody mineralnej – 3 NZD (w wiosce); Mc Donald (Rotorua): Med. Serious Angus + frytki + coka-cola = 12,70 NZD, hash-brown – 2,50 NZD; Salad Burger (Airport Auckland) – 7,20 NZD

Zwiedzanie

Jaskinie Waitomo: Waitomo Glowworm Caves (51 NZD) + Aranui Cave (50 NZD) + Ruakuri Cave (74 NZD) – ale wszystkie 3 razem – 97 NZD;

Rotorua – Whakarewarewa Village Tours – 40 NZD (w tym oprowadzenie przez przewodnika i oglądanie programu kulturalnego) – występy taneczne o 11.15 i 14.00 (otwarty codziennie od 8.30–17.00), oprowadzanie od 9.00 do 16.00.

Rotorua – Te Puia – wieczór z tańcem i tradycyjnym posiłkiem – 117 NZD (po zniżce 112,50 NZD); są jeszcze Tamaki Maori Village (130 NZD) oraz Mitai Maori Village (116 NZD), który dodatkowo się chwali, iż wieczorem można również popłynąć tradycyjną łódką wzdłuż rzeki Wai-o-whiro i zobaczyć jedyne w tej okolicy świecące świetliki.

Waimangu volcanic valley – wstęp 38,50 NZD, jeśli dodatkowo program chcemy wzbogacić o przepłynięcie statkiem po jeziorze Rotomahana – to trzeba dodatkowo zapłacić 45 NZD – ceny dla dorosłych; w cenę wstępu jest wliczony przejazd autobusem, który kursuje z jeziora do wejścia na teren parku.

Wai-o-Tapu – 32,50 NZD (www.waiotapu.co.nz); Hobbiton Movie Set – 79 NZD (około 2–3 godzin zwiedzania); Auckland War Memorial Museum – 25 NZD.

Inne atrakcje w Auckland, których nie zwiedziłem, ale warto wstąpić: Auckland Botanic Gardens – są tu opisane naturalnie występujące rośliny – park ma 64 ha i otwarty jest od 8 rano do 18, w dzielnicy Manurewa – wyjazd autostradą południową, Howick Historical Village – około 45 minut jazdy spod Britomart – na rogu Bells Road i Lady Maria Drive, Pakuranga (www.fencible.org.nz) – pozwala wyobrazić sobie, jak wyglądało życie pionierów osadnictwa w latach 1840 do 1880 – zrekonstruowano szereg domków z tego okresu. Co interesujące, była to osada, w której zamieszkali kiedyś emerytowani żołnierze w wieku 30–40 lat ze swymi rodzinami. Przyłączyli się oni tutaj, aby służyć w razie konieczności jako skuteczna obrona przed atakami Maorysów, a po 7 latach mieli dostać otrzymaną ziemię na własność.

Ogólne uwagi

Sezon letni (mogą być otwarte dłużej niektóre muzea lub częściej kursować autobusy wycieczkowe) obowiązuje od 1.10. do 30.04, zaś sezon zimowy od 1.05. do 30.09; podobno w restauracjach kelnerzy nie oczekują napiwków, ale w przypadku doskonałej obsługi nie odmówią, jeśli się im ofiaruje.

RELACJA Z PODRÓŻY

Do Auckland poleciałem liniami Emirates z Warszawy z przesiadką w Dubaju, gdzie mogłem skorzystać z noclegu w hotelu w ramach ceny biletu i następnego dnia polecieć na wschód. Tuż przed wschodem słońca w kolejnym, trzecim dniu podróży, samolot zniżał się do lądowania w Melbourne. Dalej miałem kontynuować lot tą samą maszyną do stolicy Nowej Zelandii. Ale nie można było zostać w samolocie, gdyż szykowało się generalne sprzątanie. Oddałem swój bagaż podręczny do ponownej inspekcji i dopiero wtedy mogłem wejść do sali oczekujących. Niedługo potem wołano nas z powrotem do samolotu na to samo miejsce.

Ale otoczenie było już zupełnie inne. Połowę pasażerów stanowili Chińczycy. Trzy godziny to niemal chwila w porównaniu do tych wcześniejszych kilkunastu godzin lotu. Ponadto ten miły nastrój oczekiwania, iż już za chwilę stanę po raz drugi w Nowej Zelandii. Nowym wyzwaniem było wypełnianie kwestionariusza celnego z pytaniami, na które nie można było odpowiedzieć z czystym sumieniem na „tak” jak np. z obecnością w ciągu ostatniego miesiąca w jakimś gospodarstwie czy też wwożenia jakichkolwiek artykułów spożywczych. A mając w pamięci moje przygody w Nowej Zelandii przed 5 laty, mogłem spodziewać się powtórnej drobiazgowej i długotrwałej kontroli. Tym razem nie stanowiłem po raz kolejny ofiary żarliwości nowozelandzkich strażników przed zanieczyszczeniem antypodów jakimiś zarazkami z kontynentu.

Na lotnisku wpierw musiałem zakupić odpowiednią wtyczkę używaną na antypodach, czyli w Australii, Nowej Zelandii jak i innych krajach Oceanii bliżej Australii

niż USA. To tzw. typ I, czyli wtyczka „australijska”, inna niż angielska: ma ona dwa płaskie bolce jak we wtyczce typu „amerykańskiej”, ale są one ustawione pod kątem do siebie – w kształcie litery V. Występuje też w wersji z bolcem uziemiającym. Ten rodzaj wtyczek użytkowany jest w Australii, Nowej Zelandii, Papui Nowej Gwinei i co ciekawe również w Argentynie (<http://tripolo.pl/turystyka/porady/standardy-napieci-wtyczek-elektrycznych-na-swiecie/>). A u siebie w walizce miałem niestety wtyczkę angielską. Też się przydała, ale już zupełnie gdzie indziej, bo w Dubaju, gdzie dla odmiany jeździ się jak w kontynentalnej Europie.

Po wyjściu na salę przylotów stanąłem w bramce nr 11, gdzie niedługo potem podjechał mikrobus, który miał mnie zawieźć do biura firmy Jucy Rental. Już kiedyś w tej firmie wynajmowałem auto będąc w Nowej Zelandii, a ponadto ich oferta była znacznie tańsza niż firm międzynarodowych, jak np. Avis. Rezerwacji dokonałem na 2 tygodnie przed odlotem na okres 6 dni. Dokupełem pełne ubezpieczenie wraz z GPS-em i byłem już niemal gotowy.

Musiałem jeszcze dość szybko przywyknąć do kierownicy po prawej stronie. Pojazd nie był zbyt duży, ale walizka się zmieściła w bagażniku. Stanowiłem przez jakiś czas niezłą zawalidrogę, aż w końcu poczułem się pewniej, ale wtedy już musiałem skręcać w miasto. Mój hotel był rzeczywiście niemal w samym centrum. Nie mieli jednak miejsca na parking. Musiałem miejsca szukać samemu na pobliskich ulicach. Była niedziela więc nie było opłat za parkowanie, a następnego dnia Nowozelandczycy też świętowali z okazji święta ludzi pracy. Pomimo tylu godzin spędzonych bez własnego legowiska oczy mi się same nie zamykały.

W tym dniu planowałem, iż jeszcze coś tam sobie pooglądam. Była niedziela, więc otwarte były jedynie chińskie sklepy czy jadalnie. Przynajmniej połowa pasażerów w locie do Auckland mogła znaleźć tu swoje smaki. Było dość pochmurno, a prognoza pogody na kolejny dzień zapowiadała się jeszcze gorzej. Miało być deszczowo, i niezbyt ciepło, jakieś 18–20 stopni Celsjusza. O wypadzie do Tongariro National Park – położonego kilka godzin drogi od Auckland – nie było w ogóle co myśleć. Miało spaść sporo śniegu, widoczność miała być kiepska, a być może też i najbardziej znana i malownicza trasa górską mogła być zamknięta, albo przynajmniej niedostępna dla takich letników jak ja.

Zdążyłem w tym dniu przespacerować się do portu, do którego zawijają statki pasażerskie. Podróż po wodach zatoki Waitemata niezmiernie skraca wielu mieszkańcom dostanie się do swoich domów po drugiej stronie zatoki, jak np. do dzielnicy Devonport. Z terminalu promowego odpływają też statki nieco dalej do wielu wysp rozsiadanych w położonej dalej zatoce Hauraki. Do Auckland miałem wrócić za kilka dni.

Drugi dzień

W tym dniu zaczęło padać, a potem tego deszczu było coraz więcej i więcej. Moim celem w tym dniu były jaskinie Waitomo, nocleg zaś zamówiłem w Rotorua.

Po 3 godzinach byłem na miejscu. Deszcz nieco przycichł. Miejsce było dobrane pod kątem pogody. Jakie to ma bowiem znaczenie, czy słońce, czy słońce, jeśli i tak mam zwiedzać jaskinie, gdzie co najwyżej może mi jakaś kropla wody spaść ze sta-

laktytów. Wpierw wstąpiłem do leżącej przy głównej drodze Waitomo Caves Visitor Centre, gdzie kupuje się bilety na cały szereg atrakcji w promieniu kilku kilometrów.

Para młodych ludzi stojących przede mną długo się zastanawiała, co wybrać, aby ostatecznie program zwiedzania podzielić na dwa dni. Ja byłem w gorącej wodzie kąpany. Nie miałem zbyt dużo czasu, gdyż wieczorem miałem już zarezerwowany nocleg w motelu Rotorua. Każda z atrakcji wymagała nie tylko odpowiedniej ilości czasu, ale trzeba się było przemieszczać z jednego miejsca na drugie. O dwunastej w południe miałem ruszyć z miejsca oddalonego jakieś pięćset metrów od muzeum na pierwszą i najważniejszą wycieczkę, czyli przejażdżkę łodzią po jaskiniach, tzw. Glowworm Cave. Tam nie trzeba chodzić z latarką, bo oświetlenie jest naturalne, o czym jeszcze wspomnę. Wycieczka miała trwać trzy kwadranse. Następnie mogłem sobie zrobić małą godzinną przerwę na obiad, a później autem dojechać jakieś niecałe 3 kilometry (można też tam się było wybrać podstawionym minibusem) do miejsca, skąd miały się rozpocząć wycieczki do pozostałych dwóch jaskiń, położonych niedaleko siebie. Do pierwszej z nich Aranui Cave wejście było planowane na godzinę 14 (godzinna wycieczka), a do Ruakuri Cave (dwugodzinna wycieczka) na godzinę 15.30.

Do pierwszej z nich – zwanej Waitomo Glowworm Cave – weszło nas chyba z czterdzieści osób. Za przewodnika mieliśmy bardzo sympatycznego Maorysa. To było jedno z miejsc, gdzie musiałem się pojawić. Tu strop jaskini jest oświetlony przez niezliczone larwy muchówek, które emanują światło i można się tam poczuć niczym jak pod sklepieniem rozgwieżdżonego nieba. Ten gatunek muchówek jest endemiczny dla Nowej Zelandii, ale spotykane są też w innych miejscach zarówno na Wyspie Północnej (w tym też w ogrodzie botanicznym w Wellington), jak i Wyspie Południowej (np. Te Ana-au Caves).

Kwintesencją naszej wycieczki było wejście na dwie duże łódki mieszczące gdzieś tak po dwadzieścia osób, po czym popłynęliśmy wodami podziemnej rzeki. Trzeba było zachowywać bezwzględną ciszę. Nie stosowały się do tych zaleceń tylko małe brzdące. Nie tylko cisza nas obowiązywała, ale i bezwzględny zakaz robienia zdjęć czy świecenia latarką. Larwy, które emitują światło, są bowiem bardzo wrażliwe na światło zewnętrzne i chowają się wtedy do swoich gniazd na sklepieniu jaskini i przestają świecić, jeśli one same lub ich „pajęczne” nici nie zostaną dotknięte. Zwykle wybierają jaskinie, gdzie nie ma wiatru i jest stosunkowo ciemno.

Nasz rejs po jaskini trwał zaledwie kilka minut i już wkrótce wypłynęliśmy poza jaskinię. W drugiej jaskini Aranui nie było już świecących „pajako-robaków”, gdyż było tam za sucho. Atrakcją były zaś malownicze kształty wapiennych stalaktytów. Tym razem zarówno w tej, jak i następnej jaskini Ruakuri nie było już zakazu fotografowania. W tej ostatniej można doznać zawrotów głowy, schodząc spiralną rampą wiodącą 15 metrów w dół. Tym razem mogłem tam do woli obfotografowywać świecące robaczki, które tu gdzieś tam łypały do nas swym delikatnym światłem.

Przed godziną 21 dojechałem do Rotorua. Na szczęście recepcja o tej porze – rzecz dość unikalna dla Nowej Zelandii – była jeszcze otwarta. Znacznie gorzej było o tej porze z jakimikolwiek lokalami gastronomicznymi, szczególnie, że w tym dniu przypadało święto narodowe, czyli Labour Day, który wypada zawsze w czwarty poniedziałek

października – czyli właśnie w tym roku był to 23 października. Ostatecznie musiałem się zadowolić frytkami z Burgerkinga. Takie to było moje pierwsze spotkanie z kuchnią nowozelandzką.

Trzeci dzień

Rotorua. Wspaniałe miejsce, gdzie cuda natury przenikają ze spojrzeniem w życie pierwotnych mieszkańców Nowej Zelandii, Maorysów. Nawet jeśli jest to przygotowane pod masowy napływ turystów, których jest corocznie podobno około 3. milionów, to jednak warto tu być. Atrakcji do zobaczenia można znaleźć tyle, że nawet tydzień pobytu może nie wystarczyć. Ja sobie zostawiłem na to półtora dnia, więc musiałem dokonać wyborów.

Miasto położone jest nad jeziorem Rotorua, do którego w niektórych miejscach wpływają gorące wody, szczególnie w okolicy tzw. Błękitnych Basenów. Wstąpiłem na ścieżkę wytyczoną wzdłuż brzegów jeziora, gdzie nieodmiennie czuć było zapach siarkowodoru. Najbardziej reprezentatywnym budynkiem jest niewątpliwie Rotorua Museum. Mieścić się tam miały zarówno galerie sztuki, jak i wystawa poświęcona wytworom sztuki maoryskiej, którzy wywodzili się z plemiona Te Arawa. Ale już od pewnego czasu budynek był zamknięty. W pobliskim biurze informacji turystycznej kupiłem bilet wstępu na odprowadzany w tym dniu wieczór w maoryskiej wiosce, połączony z degustacją potraw upieczonych w ziemnym piecu. Miał się odbywać w położonej na obrzeżach Rotorua maoryskiej wiosce Te Pua.

Nie dość mi było jednak tych wieczornych atrakcji, więc postanowiłem w ciągu dnia odwiedzić wioskę Whakarewarewa (8.30–17.00) (www.whakarewarewa.com). Ma ona już swoje tradycje. Zamieszкана została już przez Maorysów od połowy XIX wieku i oferuje odwiedzającym zapoznanie się zarówno z kulturą maoryską, jak i wrzniętymi kipiącymi gorącymi źródłami.

Po dziś dzień jedną z najważniejszych budowli w wiosce Maorysów jest Dom Spotkań. Na jego ścianach ludowi artyści przedstawili genealogię swych przodków, którzy wywodzili się od wspomnianego już Wahla. Ale wejście do środka było dozwolone tylko mieszkańcom wioski. Dla obcych – takich jak ja – to miejsce jest tapu, czyli nie mamy do niego wstępu. Tuż obok mały anglikański kościółek Te Arawa, który został postawiony dla uciekinierów z miejsc zniszczonych przez wybuch wulkanu Tarawera w 1886 roku. Wioska w istocie ma dwa kościoły, w tym położony w drugiej części wioski kościół katolicki, gdyż wielu jej mieszkańców jest katolikami i dla nich też założono cmentarz.

Obok była inna wioska maoryska Te Puia, gdzie jedną z większych atrakcji jest wybuchający na wysokość 30 metrów gejzer Pohutu, którego wybuchy co jakieś 30–60 minut są podobno największe na południowej półkuli. Efekty można również oglądać z wioski Whakarewarewa. Zwykle dobrze czas wizyty tak ustawić, aby mieć okazję oglądnięcia występu grupy tancerzy i tancerek w miejscowym klubie, które odbywają się codziennie o 11.15 i 14.00. Będąc w wiosce postanowiłem się nie ograniczyć jedynie do zwiedzania wraz z grupą samej wioski. Powędrowałem po okolicy, gdzie znajdowało się dużo mniejszych czy większych dymiących, parujących i często przybierających przeróżne barwy jezior. Następnie pojechałem do kolejnej atrakcji miasteczka

Rotorua, jakim jest Redwoods. Tam, jak to nazwa wskazuje, królują dla odmiany wielkie kalifornijskie sekwoje wieczniezielone (ang. *redwood*). To miejsce zarówno dla pieszych spacerów, jak i rowerzystów. Od stycznia 2016 roku uruchomiono dla chętnych chodzenie po wiszących kładkach o łącznej długości pół kilometra. Nie są to aż tak duże wysokości, bo zaledwie 12 metrów nad ziemią wiszą 23 pomosty rozpięte pomiędzy drzewami.

Z Rotorua nie trzeba się nigdzie daleko ruszać, aby zobaczyć, jak mógł sobie wyobrazić piekło Dante. Wystarczy wybrać się na spacer do miejskiego parku Kuiaarau. Miejsce to nieustannie dymi, bulgocze i to wszystko zaledwie kilkanaście metrów od ruchliwej ulicy i pobliskich domów na niewielkim wzgórzu.

Zbliżał się już termin spektaklu, na który wcześniej zakupiłem bilet. Miał się odbywać w tzw. dawnej twierdzy Te Puia, sąsiadującej z wioską maoryską widzianą przeze mnie kilka godzin wcześniej. W programie był zarówno pokaz maoryskich tańców, jak i tradycyjna maoryska „wyzerka” z przygotowanego wcześniej jedzenia w ziemnym piecu. Była nas spora gromadka, może nawet około stu osób. Zaczęło się od krótkiego oprowadzenia, które miało w nas zaostrzyć apetyty. Pokazano nam, jak produkty wieczornej uczyty są wkładane do specjalnego pieca i miały być gotowe za jakąś godzinę już po występie tanecznym, który miał się odbyć w domu spotkań. Dom spotkań jest zazwyczaj niedostępny dla zwykłych białych śmiertelników, więc czekały nas ceremonie, które miały nam to umożliwić. Cała nasza spora gromadka gości musiała przejść tak zwane powitanie, czyli ceremonię *pōwhiri*.

Ostatecznie – tak jak to zwykle dzieje się co wieczór – nasza wielka grupka ciekawskich została wpuszczona do wnętrza *marae*. Wielu tancerzy mogłem zobaczyć już po raz drugi w tym dniu. Widać, że w tańcu łączą się obie wioski we wspólnym przedsięwzięciu. Jeszcze raz przyjrzałem się tym syczeniom, wystawianiem jęzorów, wybałuszaniem oczu i wymachiwaniem drewnianą dzidą czy czymś co trochę przypominało jakieś wiosło, a miało być imitacją śmiercionośnej maczugi. Kiedy nadszedł koniec płasów, zaproszono tradycyjnie widownię na scenę.

Na kolacji pod hasłem „Bierz ile zjesz” biesiadnicy kursowali kilka razy, wypełniając swe talerze po brzegi. Mogłem sobie odpuścić to kolejne nakładanie i jedzenie do rozpuku. Nie musiałem czekać aż impreza się zakończy. Do swojego motelu miałem niedaleko, szczególnie gdy mogłem ten krótki odcinek przebyć samochodem. Nachodziłem się w tym dniu sporo i siły trzeba było oszczędzać na następny dzień. Oczywiście jeszcze trochę czasu zajęła mi logistyka, gdzie to nocować w następnym dniu i jak zaplanować poszczególne dni, które wolałem spędzić już w Auckland. Namiastką mojej małej stabilizacji było zwykle rezerwowanie miejsc w hotelu na co najmniej 2 dni. Stąd też dwie noce spędzałem w motelu w Rotorua, a kolejne dwie noce zamierzałem pobyć w jakimś ciekawym miejscu w Auckland. Mój wybór padł na dzielnicę Parnell, modnej części miasta i tętniącej życiem zarówno w ciągu dnia, jak i w nocy.

Czwarty dzień

Rozstałem się już ostatecznie z moim hotelem i pomknąłem na południe, w kierunku dwóch atrakcji geotermalno-wulkanicznych rozsianych wokół Rotorua, jak Waimangu i Wai-O-Tapu. W samej dolinie Waimangu można wybierać różnej długości piesze

trasy, które biegą wzdłuż asfaltowej drogi, po której regularnie kursuje autobus od centrum turystycznego aż do Jeziora Rotomahana. Tam zaś można wsiąść na statek, aby w czasie 45-minutowego rejsu dowiedzieć się i zobaczyć różne zjawiska geotermalne, które podobno najlepiej dostrzec właśnie z pokładu statku. To jezioro w swym kształcie, jak i większość spotykanych po drodze kraterów wypełnionych wodą, jest dość młodej daty. Wszystko się bowiem zaczęło w nocy 10 czerwca 1886 roku, kiedy to doszło do wielkiej erupcji wulkanu Tarawera. Przesłał istnieć jeden z wielkich cudów natury tych czasów, czyli Różowe i Białe Tarasy, które w tej chwili znajdują się na dnie Jeziora Rotomahana.

Aby przejść się wzdłuż całej trasy doliną Waimangu, musiałem mieć co najmniej jakieś dwie godziny; droga nie była zbyt trudna dla piechura. Drogę powrotną pokonałem już autobusem, kursującym tam średnio co godzinę i ruszyłem swoim autem kilkanaście kilometrów dalej do Wai-O-Tapu (Święte Wody), które przyciągają sporą liczbę gości, bo i są niemal fotograficznym kolorowym rajem. Wśród nich najbardziej spektakularny jest Staw Szampański (Champagne Pool), którego krater został wypełniony wodą przed 700 laty. Musiałem tam jakiś czas poczekać na korzystne podmuchy wiatru, aby staw wyłonił się z gęstych obłoków pary.

Było wpoł do drugiej, gdy pełen wrażeń i zdjęć wsiadłem do auta i ruszyłem na północ. Przede mną był powrót do Auckland, gdzie miałem już zarezerwowany na dwie noce hotel Parnell Pines w dzielnicy Parnell. Jak to w Nowej Zelandii, nie mogłem liczyć na recepcję czynną całą dobę. Stąd na wszelki wypadek napisałem do nich, aby mi podali szczegóły otwarcia, dojazdu czy parkingu. Ale przed wyjazdem z hotelu nic mi jednak na maila nie przyszło.

W połowie drogi do Auckland znajdowało się miejsce, które przyciąga wielbicieli twórczości Tolkiena. Hobbiton leży niemal w sercu krainy Waikato, kilkanaście kilometrów od miasteczka Matamata. Ostatnie wejście miało być o godzinie 17, ale zdarzyło mi się pobyć jadąc autem, gdy chciałem pojechać na skróty. Była już niemal piąta po południu, gdy dotarłem do celu. W biegu wpadłem do kasy, aby się dowiedzieć, iż ostatnia grupa wycieczkowa odjechała autobusem na zwiedzanie pięć minut wcześniej. Mogłem tylko sobie pooglądać krajobrazy i zobaczyć autobus z napisem Hobbiton Movie Set, który zniknął za wzgórzem, gdzie mieściła się filmowa wioska hobbitów. Jedyne co mogłem zrobić, to usiąść na chwilę na tarasie zamykanej knajpki przy drodze, czyli Shire's Rest Cafe i pooglądać asortyment w miejscowym sklepie pamiątkarskim.

Hobbiton Movie Set pozostał dla mnie zakryty za tym wzgórzem, ale mogłem się cieszyć kuszącym wyglądem krajobrazu krainy Shire. W Hobbitonie zostawiono plenery, gdzie kręcono niektóre sceny Trylogii „Władcy Pierścieni”. Po wielkim sukcesie filmowym reżyser powrócił jeszcze raz w to miejsce i nakręcił „Hobbita”.

Do Auckland trafiłem jeszcze przed zmrokiem. Wpierw niemal cudem udało mi się zaparkować swój samochód na ulicy, ale recepcja hotelu okazała się już być od co najmniej od godziny zamknięta. Była już godzina 20. i zamykano też przylegający do hotelu bar, ale chłopak pomógł mi odnaleźć małą skrzynkę przy wejściu do recepcji, gdzie po wpisaniu kodu mogłem odebrać klucze do pokoju oraz hasło do Internetu.

Kiedy już znalazłem się w swoim małym pokoiku, dopiero wtedy odczytałem maila, iż recepcja jest czynna tylko do 18, ale za to wyjaśniono dokładnie, jak mam znaleźć klucz. Następnego dnia czekała mnie wycieczka na małą wyspę Tiritiri Matangi.

Piąty dzień

Obudził mnie znowu budzik o szóstej czterdzieści pięć. Miało być chmurno, ale przynajmniej prognozy nie były dla mnie zbyt deszczowe. Auto przestawiłem na położony w pobliżu Wilson parking, gdzie cena za parkowanie 2–3 godziny była niemal taka sama jak za 12 godzin. Przynajmniej nie szkoda mi było tych pieniędzy. Płacić można było kartą kredytową (15,60 NZD) lub gotówką, ale wyłącznie monetami, z których największa ma 2 NZD. W autobusach natomiast bilety może sprzedawać też i kierowca, który z banknotu 10 dolarowego wydał mi resztę w pięćdziesięciocentówkach.

Statek odpływał równo o dziewiątej rano, a że są pewne limity na liczbę osób odwiedzających wyspę w ciągu roku, to wolałem zakupić bilet na statek dzień wcześniej przez internet niż zdawać się na to tuż przed odpłynięciem.

Żółta łódź nadwodna na wyspę Tiritiri Matangi już na nas czekała. Wśród pasażerów przeważali łowcy wizerunków ptaków uzbrojeni w potężne obiektywy. Ich wiek był emerytalny, podobnie też jak i przewodników – wolontariuszy. Ci ostatni weszli jako pierwsi na pokład; statek miał przybyć na wyspę po 70 minutach rejsu. Po drodze zawinęliśmy do innego portu, skąd została wzięta duża gromadka uczniów.

W cenę wycieczki wliczone było oprowadzanie. Mieliśmy do dyspozycji kilkunastu przewodników i każdy z nich opiekował się grupką kilku osób. Po jakichś dwóch godzinach powolnego wędrowania z licznymi przystankami dotarliśmy do miejsca, gdzie znajdowała się latarnia morska oraz coś w rodzaju informacji turystycznej z barem. Tam można było się napić kawy i zamówić jakieś ciastko.

Dlaczego właśnie ta wyspa jest celem wielu wycieczek z pobliskiego Auckland. Kiedyś mieszkali tu Maorysi, a po traktacie w Waitangi sprzedali tę wyspę Koronie Brytyjskiej. Nowi właściciele objęli w posiadanie 220 hektarową wyspę i oddali ją w dzierżawę. Zaczęto tu hodować przede wszystkim owce; bywały okresy, kiedy pasano tu jakieś 600 owiec. Ale w latach 70. XIX wieku termin dzierżawy się skończył i postanowiono wyspę przekształcić na rezerwat przyrody. W latach od 1984 do 1994 zostało tu rękoma entuzjastów przyrody – w ramach projektu sfinansowanego przez WWF – zasadzonych jakieś 280 tysięcy drzew i krzewów. Stąd obecnie wyspa jest w większości pokryta bujną roślinnością, choć nie brakuje też i łąk. Po 10 latach intensywnego zalesiania postanowiono przywrócić wyspę ptakom i wykorzeniono wszystkie ssaki, w tym w szczególności szczury polinezyjskie. Dwanaście gatunków ptaków natywnych do Nowej Zelandii sprowadzono w klatkach z innych wysp, ogrodów zoologicznych czy innych części Nowej Zelandii, w tym m.in. jeden z podgatunków kiwi (<http://www.tiritirimatangi.org.nz>). Nie jest to jedyne miejsce do zobaczenia tych fascynujących ptaków w naturze w Nowej Zelandii. Gdzie ich szukać, można się zapoznać bliżej np. na stronie internetowej jak: <https://www.tripsavvy.com/see-kiwis-in-the-wild-1605903>.

Na koniec wybrałem się na samodzielną wycieczkę w głąb wyspy. Po zagłębieniu się w las mogłem zobaczyć najstarsze drzewa *pohutukawa* (*Metrosideros excelsa*), li-

czące sobie podobno nawet i tysiąc lat. Musiałem się spieszyć, gdyż statek odpływał o 15.30, a potem musiałbym tu nocować, czekając na kolejny statek następnego dnia, już po planowanym odlocie na wyspę Samoa. Po południu dotarłem do mojej dzielnicy Parnell. Niedaleko mojego hotelu Parnell Pines znajdowała się irańska restauracja Rumi, gdzie miałem okazję cokolwiek się posilić.

Szósty dzień

Zbudziłem się już o szóstej rano. Zamarzyłem sobie, aby w tym dniu odwiedzić plażę położoną na brzegu Morza Tasmana. Nie należy podobno zbyt blisko podchodzić do wzburzonego oceanu, aby fale nie wciągnęły w głąb spienionego żywiołu. Deszcz zaczął coraz bardziej, miałem chyba przed sobą półtorej godziny jazdy, ja zaś białem się z myślami, co mnie tam takiego wiedzie. Po kilkudziesięciu kilometrach dotarłem wreszcie do celu, aby prawie nie wychylić nosa z tutejszej jedynej kawiarni i tam zamówić swoją ulubioną Flat White. Tam było przynajmniej sucho.

Na spacer wzdłuż morza się nie zdecydowałem. Podjechałem pod sam brzeg, aby jednak symbolicznie dotknąć wód tej części oceanu, pstryknąć parę zdjęć. Pogoda pasowała do klimatu i nastroju, w którym kiedyś kręcony był w tej okolicy nowozelandzki film „Fortepian” wyprodukowany w 1993 roku. To było w czasach, gdy nikt jeszcze nie śnił o ekranizowanych filmach opisujących opowieści Tolkiena Petera Jacksona. Ponura historia, równie ponura była też i pogoda, która tego dnia szalała na wybrzeżu. Zacinający deszcz, wyłaniające się z mgły wielkie skały – to nie było miejsce na piknik tego dnia.

Pomknąłem z powrotem do centrum Auckland, a następnie w kierunku lotniska, aby polecieć na Samoa. Największa kolejka do oddania bagażu była oczywiście na lot na Samoa. Linie Virgin Australia ostrzegały na swoich ekranach, iż nie wpuszczą nikogo z bagażem podręcznym ważącym ponad 7 kilo. Z zapobiegliwości pochowałem swoje książki po kieszeniach, ale rozeszło się po kościach; jak to zwykle bywa, nikt się o to nie pytał. Ważniejsze było, czy mam jakiś bilet powrotny.

Powrót z podróży po Samoa i Fidzi

Odlatywałem z Fidzi już niemal o zachodzie słońca, aby jeszcze dostrzec rozciągający się nad wyspą niczym pożegnanie łuk tęczy. Lot trwał tradycyjnie trzy godziny. Ponownie znalazłem się w innej strefie czasowej oddalonej od polskiej o dwanaście godzin. I jeszcze raz czekało mnie wypełnianie deklaracji celnych z „trudnymi pytaniami” dotyczącymi jakiegokolwiek żywności, której niezadeklarowanie od razu z automatu zagrożone było karą 400 dolarów. Lepiej więc wszystko skonsumować, co też i uczyniłem z mieszanką suszonych owoców, jakie mi zostały na czarną godzinę. Długie, długie kolejki do kolejnych punktów kontroli, aż ostatecznie stanąłem w miejscu znanym mi już sprzed 2 tygodni. Mój hotel deklarował transfer z lotniska; wpierw – jak mnie pouczyła pani z informacji – należy przedzwonić z automatu pod bezpłatny numer, co też i uczyniłem. Miał przyjechać tak jak zawsze przed wejście nr 11 za jakiś kwadrans. Trochę się to dłużyło, ale ostatecznie już jako ostatni pasażer tego lotniska zostałem odebrany. To było tylko parę kilometrów, ale bez auta byłoby trudno, bo podobno żaden taksówkarz nie wziębył mnie na tak krótki kurs. Zaczęło się nawet robić dość

zimno. Wprawdzie z lotniska do miasta kursuje tzw. Skybus i to nawet dość często, bo co 10–15 minut, ale tutaj wszyscy lubią chodzić wcześniej spać, kierowcy też. Stąd po 19. nie miałem na niego szans.

W motelu recepcjonista jak i większość gości pochodziła z Chin. Internet niby był, ale tempo miało żółwie. Czas było spać, bo w następnych dniach mogło być z tym krucho.

Ostatni dzień w Auckland

Powroty bywają trudne. Szczególnie, gdy w Auckland już słońca nie widziałem, motel zaś nie przypominał mi elegancji moich poprzednich resortów. Rano trudno było mi się zebrać na wyjście do centrum Auckland. Plany miałem bardzo napięte, ale Auckland to dość rozległe miasto, a z lotniska jest co najmniej pół godziny do godziny jazdy autobusem. Nie miałem już swojego auta, a choć przystanek autobusowy był niemal przy motelu, to autobus jeździł z częstotliwością co 30 minut, i do tego jeszcze omal się nie zatrzymał. Potem była kolejna przesiadka, kolejne pół godziny czekania, a następnie przejazd do placu Aotea. Chmury nie nadawały miastu w tym dniu bynajmniej blasku, położony zaś obok wielki budynek Event Cinemas był miejscem, gdzie można powybryzdać w przeróżnych kuchniach świata. W lokalu z włoskimi potrawami uwijali się Chińczycy, ale za to nie było długiego oczekiwania na coś w rodzaju spaghetti. Obszedłem później tę budowlę ze wszystkich stron, aby przypatrzeć się zachowanemu w dawnej formie budynku Civic Theatre pamiętającego jeszcze złote czasy kina (zbudowano w 1929 roku). Na fasadzie architekt umieścił szereg chłopców ze skrzydełkami obwiniętych wstęgą, aby zbyt nie eksponowali swej nagości.

Wystarczy stamtąd przejść kilkaset metrów nieco pod górę, aby natrafić na Auckland Art Gallery. Galeria ta może się pochwalić obrazami zarówno włoskich mistrzów, jak i impresjonistów. Ominąłem ją szerokim łukiem, aby trochę zaoszczędzić swoje zmysły i czas na inne atrakcje tego miasta, których bym nie doświadczył na swoim kontynencie. Auckland jest miastem położonym na licznych wzgórzach, co jest pokłosiem aktywności wulkanicznej. Niektóre wzgórza służyły Maorysom na umiejscowienie swoich obronnych siedzib, tzw. *pa*. Naliczono się w obrębie Auckland 49 wulkanicznych stożków, które wyrastają na wysokość do 150 metrów i więcej ponad poziom morza.

Szedłem w kierunku najważniejszego muzeum w Auckland, jakim jest Muzeum Pamięci Wojny, położonym na kolejnym wzgórzu miasta. Miasto przy swej powierzchni 560 km² może sobie pozwolić na sporą liczbę terenów zielonych, w tym również w samym centrum. Jednym z nich jest Park Alberta, gdzie można sobie pstryknąć zdjęcia przy olbrzymich armatach, które zostały tu postawione w latach 80. XIX wieku. Warto pospacerować niespiesznie po okolicy, bo znajduje się w pobliżu cały szereg budowli o charakterze niemal zabytkowym należących do Uniwersytetu, jak np. wieża zegarowa ukończona w 1926 roku i stanowiąca niemal ikonę Auckland.

Od uniwersytetu niedaleko już miałem na sąsiednie wzgórze, tzw. Auckland Domain, stanowiące spory obszar terenów zielonych, gdzie pod koniec lat 20. XX stulecia postawiono Muzeum „Auckland War Memorial Museum”. Na zwiedzanie miałem chyba tylko godzinę. Ale czy ja tu jeszcze kiedyś przyjadę? Skorzystałem więc z okazji i wysupłałem te 25 NZD, aby zobaczyć tylko parter muzeum, który poświęcono że-

glarzom Południowych Mórz, czyli Maorysom i Polinezyjczykom. Stoi tam więc dom spotkań (*Hotunui*), zbudowany w Thames na półwyspie Coromandel i przeniesiony do muzeum w roku 1981, jak również wielkie maoryskie wojenne czółno, Te Toki a Tapiri skonstruowane w latach 30. XIX wieku. Zrezygnowałem już z myślowania po drugim piętrze, gdzie przedstawiono historię lokalnych konfliktów oraz dwóch wojen światowych, na które Nowozelandczycy jako poddani królowej angielskiej byli wysyłani na fronty walki wielu kontynentów.

Przejechałem się do motelu autobusem, który krążył i krążył, aż mogłem wysiąść na właściwym przystanku. Następnie czekały mnie kolejne emocje, kiedy to przyjedzie moja taksówka. Z coraz większym drżeniem serca na nią oczekiwałem, a jej przyjazd się opóźniał i opóźniał. I z każdą minutą zwiększał się mój niepokój, czy jeszcze zdążę czy nie na mój lot do Europy. Udało się. O godzinie 18.10 wyleciałem z Nowej Zelandii, aby po 20 godz. lotu z międzylądowaniem w Brisbane dotrzeć do Dubaju, a następnego dnia również do Warszawy.

Radomir i Anna Kolmas
(z Pawłem i Antoniną Kolmas)

Stany Zjednoczone – od Miami do Chicago



Trasa z Miami do Chicago to kwintesencja USA – muzyka country oraz blues, Elvis Presley i Martin Luther King, Coca-Cola oraz bourbon i whiskey, wieżowce Chicago i murzyńskie przedmieścia Memphis, koniec i początek drogi 66 (Chicago), Mount Rushmore i Łuk Wjazdowy w Saint Louis. Ale również aligatory w Parku Narodowym Everglades i karaibski klimat w Key West. Krajobraz, klimat i ludzie tak się zmieniają, iż czujemy się, jakbyśmy przejeżdżali z jednego państwa do drugiego.

Termin: 18 czerwca – 7 lipca 2019 r.

Czas: Na Florydzie, w Georgii – 6 godz. w stosunku do Polski. W Tennessee, Missouri, Nebrasce, Dakocie Południowej, Illinois, Minnesocie, Wisconsin – 7 godz. w stosunku do Polski. Częściowo w Nebrasce i w Dakocie Południowej – 8 godz. w stosunku do Polski.

Koszty

Największy koszt to przelot do USA – warto obserwować promocje i zakupić bilety z jednego z portów skandynawskich, np. Oslo czy Sztokholmu (nam udało się zakupić bilety w promocyjnej cenie na lot Oslo – Bruksela – Waszyngton – Fort Lauderdale – Chicago – Bruksela – Oslo). Dolot do Oslo możliwy jest z Polski tanimi liniami.

Na miejscu koszty zależą od miejsca, gdzie nocujemy i jemy – najtańsze są hotele przy autostradach oraz restauracje – sieciówki, a także bary z kuchnią etniczną. Ogólnie wejściówki do głównych atrakcji są dosyć drogie – często od 20 do 30 USD za osobę.

Benzyna od 2,27 USD za galon na Florydzie, w Missouri za 2,37 USD, w Nebrasce 2,45 USD, w Południowej Dakocie 2,79 USD, a w Illinois 3,20 USD.

RELACJA Z PODRÓŻY

1 dzień

19.45 – LOT Norwegia z Warszawy Chopina do Oslo Gardermoen – 2 godz.

2 dzień

6.45 – lot „Brussels Airlines” z Oslo Gardermoen do Brukseli – 2 godz.

10.15 – lot „United” do Waszyngtonu Dulles – 8 godz. 40 min

12.55 – przylot do Waszyngtonu

Zwiedzanie Air and Space Museum (Steven F. Udvar-Hazy Center) – przejazd z lotniska autobusem Fairfax Connector Nr 983 za 2 USD co 20 min – zwiedzanie Muzeum za darmo

17.45 – lot „United” do Fort Lauderdale – 2 godz. 54 min

20.39 – przylot do Fort Lauderdale na Florydzie

Odbieramy samochód z wypożyczalni „Thrifty”.

Nocleg w hotelu „Plaza” w Fort Lauderdale – średnio około 60 USD za nocleg – 3 noclegi

3 dzień

Śniadanie kubańskie w barze Porto Havana

Wypoczynek na plaży w Lauderdale by the Sea

Obiad w jamajskiej restauracji „2617 Jerk Grill” w Pompano Beach

4 dzień

Śniadanie w sieciówce „IHOP” w Fort Lauderdale

Wypoczynek na Las Olas Beach w Fort Lauderdale

Obiad w meksykańskim barze „Tacos el Papi and Blanc” w Oakland Park

5 dzień

Śniadanie w Little Cuban Café w Fort Lauderdale

Przejazd Fort Lauderdale – Homestead – 1 godz. 40 min

Po drodze zwiedzamy Miami: Wynwood Walls, Miami Beach (Art Deco District), Little Haiti (Little Haiti Cultural Centre) oraz Little Havana (Calle 8) i centrum handlowe „Bayside Marketplace”

Obiad w restauracji z kuchnią Haiti „Chef Creole” (Haiti 200 NW 54th St, Miami, FL 33127)

Nocleg w Garden Inn Homestead/Everglades/Gateway to Keys w Homestead – około 44 USD ze śniadaniem – 2 noclegi

6 dzień

Przejazd Homestead – Key West – 2 godz. 40 min

Po drodze zwiedzanie Islamorada (Robbie’s marina – karmienie ryb – tarponów) oraz Bahia Honda State Park (4 osoby za 10 USD), Seven Mile Bridge.

Zwiedzanie Key West – Mallory Square, Duval Street, Hemingway Museum, Southernmost Point of the Continental USA. Degustacja key lime pie w Kermit’s Key West Key Lime Shoppe (4,50 USD za sztukę)

Obiad w meksykańskim barze Cowboy Bill’s w Key West

Powrót do Homestead i po drodze Big Pine Key (słynny No name Pub – key lime pie za 4,99 USD)

7 dzień

Przejazd do Parku Narodowego Everglades (wejście 30 USD za samochód) – Ernest F. Coe Visitor Centre, Anhinga Trail, Gumbo Limbo Trail, Pa-Hay-Okee Lookout Tower i po drodze „Robert is Here” (bazar z owocami i koktajlami) w Homestead

Obiad w restauracji „Denny’s” w Fort Myers

Przejazd z Homestead do Clearwater 4 godz. 30 min – po drodze Park Narodowy Everglades (Shark Valley Visitor Centre) i plaża Siesta Key (najładniejsza plaża w USA)

Nocleg w Magnuson Hotel Clearwater Central w Clearwater – 2 noclegi

8 dzień

Przejazd do St. Petersburg i zwiedzanie Dali Museum (dorośli 24 USD i dziecko 10 USD)

Odpoczynek na plaży w Clearwater Beach

Obiad w restauracji z chińskim bufetem „Golden Wok China Buffet” w Largo (10 USD od osoby)

9 dzień

Przejazd do Atlanty – 7 godz.

Po drodze spacer po kubańskiej dzielnicy Ybor City w Tampa

Obiad w restauracji „Denny’s” w Valdosta

Nocleg w Motel 6 Atlanta Northwest – Marietta koło Atlanty – 56,29 USD

10 dzień

Śniadanie w Brazilian bakery café w Marietta

Parking w Atlancie za 5 USD – 175-187 Peachtree St SW lub 7 USD 76 Forsyth Street SW

Zwiedzanie Atlanty – siedziba CNN (CNN Studio Tour – Behind the Scenes 16,34 USD/dorośli i 13,07 USD/dziecko), World of Coca-Cola (wejście 18 USD/dorośli i 14 USD/dziecko), National Centre of Civil and Human Rights (tylko z zewnątrz), Martin Luther King Park (grób MLK, The King Centre)

Z Centennial Park do King Historic District – tramwaj (1 USD od osoby)

Obiad w brazylijskiej restauracji Sabor do Brasil w Marietta

Przejazd Atlanta – Nashville – 3 godz. 40 min

Po drodze Chattanooga Whiskey Experimental Distillery w Chattanooga

Nocleg w Days Inn by Wyndham Airport Nashville East w Nashville

11 dzień

Nashville – zwiedzanie Country Music Hall of Fame and Museum (25 USD/dorośli i 15 USD/dziecko), Broadway (kluby muzyczne), Painters Alley, The Parthenon (muzeum – 6 USD/dorośli i 4 USD/dziecko), Gaylord Opryland Resort (największy resort w USA)

Wizyta w destylarni „Nelson’s Green Brier Distillery” w Nashville – degustacja bourbona

Obiad w restauracji chińskiej „China King Buffet” (8 USD od osoby)

Przejazd Nashville – Memphis – 3 godz.

Wieczorem w Memphis – muzyka w Lafayette's Music Room
Nocleg w Motel 6 Memphis Northeast w Memphis – 61,98 USD

12 dzień

Śniadanie w barze „IHOP” w Memphis

Zwiedzanie Memphis – Graceland (dom Elvisa – bilety mansion Only dorosły 41 USD i dziecko 21 USD), National Civil Rights Museum w dawnym motelu „Lorraine” (dorosły 16 USD i 13 USD dziecko), hotel The Peabody (pochód kaczek do windy o 17), Beale street (kluby muzyczne)

Obiad w barze Huey's Downtown w Memphis

Przejazd Memphis – St. Louis – 4 godz.

Nocleg w Motel 6 St. Louis Maryland Heights koło Saint Louis – 63,71 USD

13 dzień

Śniadanie w „St. Louis Bread Co.” (Panera Bread) w Bridgeton

Zwiedzanie Saint Louis (Łuk Wjazdowy – Arch of Gateway – wejście 16 USD/dorosły i 12 USD/dziecko) – wjazd windą na wysokość 192 metrów, w podziemiach Muzeum Ekspansji na Zachód, Old Courthouse

Przejazd drogą 66 koło Litchfield + Chain of Rocks Bridge

Lody na drodze 66 w Ted Drewes Frozen Custard – regular concrete za 4,40 USD

Obiad w „Imo's Pizza” w St. Louis – pizza, toasted ravioli, 2 x fontanna napojów – 34,02 USD.

Przejazd St. Louis – Platte – 4 godz. (po drodze miasteczko Krakow)

Nocleg w Ramada by Wyndham Platte City KCI Airport w Platte City

14 dzień

Platte – Ogallala – 7 godz. i po drodze zwiedzanie Omaha (Old Market)

Obiad w meksykańskim barze „Pepperjax Grill” w Omaha

Nocleg w Travelodge by Wyndham Ogallala w Ogallala

15 dzień

Przejazd Ogallala – Custer State Park – 4 godz.

Po drodze Carhenge (amerykańskie Stonehenge w Nebrasce zrobione z samochodów)

Oglądanie bizonów w Custer State Park w Południowej Dakocie (15 USD od samochodu) i jedziemy Wildlife Loop road

Przejazd do Keystone i obiad w „Family Big Thunder Bar & Grill” – hamburger z frytkami za 8 USD

Jedziemy do Mount Rushmore National Memorial (za darmo wejście, parking 10 USD) – widok z Grand View Terrace i Presidential trail, Sculptor's Studio

Z daleka oglądamy Crazy Horse Memorial (wjazd 30 USD).

Nocleg w Super 8 by Wyndham Rapid City Rushmore Rd w Rapid City

16 dzień

Oglądamy pomniki prezydentów USA na ulicach Rapid City i Art Alley z graffiti na ścianach

Przejazd Rapid City – Blue Earth – 6 godz. 30 min

Po drodze zatrzymujemy się w Wall w Wall Drug Store (centrum handlowe – odtworzone miasteczko z czasów Dzikiego Zachodu), zwiedzanie Badlands National Park (25 USD za samochód) – jedziemy Hwy 240 Badlands Loop Rd, Ben Reifel Visitor Centre, Window trail Notch i Cliff Shelf Trail. Przy wyjeździe z parku (NE Entrance Station) jest miejsce, gdzie można zobaczyć pieski preriowe (*prairie dog* lub inaczej nieświszczuka)

Obiad w meksykańskiej restauracji „Mi Pueblo” w Chamberlain – burritos za 8,50 USD.

Po drodze Corn Palace w Mitchell (ściany ozdobione wzorami z kukurydzy – co roku inny temat – w 2019 roku temat wojska USA)

Nocleg w Super 8 by Wyndham Blue Earth w Blue Earth.

17 dzień

Przejazd Blue Earth – Chicago – 6 godz.

Po drodze Green Giant w Blue Earth i oglądanie parady z okazji Dnia Niepodległości w Austin w Minnesota.

W Austin zwiedzanie Muzeum SPAM, czyli mielonki (za darmo).

Po drodze zatrzymujemy się w Wisconsin Dells – Devil’s lake State Park (16 USD za samochód)

Obiad w chińskim bufecie „World Buffet” w Madison – 13 USD/dorosły i 11 USD/dziecko

Płatna autostrada w Illinois do Chicago – około 7,90 USD.

Nocleg w Super 8 by Wyndham Chicago/Rosemont/O’Hare/SE07 w River Grove koło Chicago

Jedziemy na lotnisko O’Hare do Car Rental zostawić samochód i powrót shuttle bus na terminal 1 i dalej taksówką do hotelu.

18 dzień

Ze stacji Franklin Park jedziemy „Metra” MD-W do stacji Union Station – 5,50 USD/dorosły.

Zwiedzanie wieżowca „Willis Tower” – 25 USD/dorosły i 17 USD/dziecko – widok z 412 m na Chicago i jezioro Michigan, Jackson Boulevard (Chicago Board of Trade i Monednock Building), znak – początek drogi 66 (E Adams St.), Millenium Park (Pritzker Pavillion, BP Bridge, Maggie Daley Park i rzeźba „Cloud Gate”).

Po drodze słynna metalowa konstrukcja dla linii metra „The Loop”.

Obiad w barze „Luke’s Italian Beef” – hotdogi w stylu Chicago (3,25 USD) i kanapka Italian Beef z wołowiną i papryką (7 USD).

Wracamy „Metra” do stacji Franklin Park – odbieramy bagaże z hotelu i taksówką jedziemy na lotnisko O’Hare

18.05 – lot „United” z Chicago Terminal 1 do Brukseli – 8 godz.

19 dzień

9.05 – przylot do Brukseli

Wypożyczamy samochód z „Budget” i jedziemy do Knokke Heist nad Morzem Północnym i do Brugii

Obiad w „Burger King ” w Drongen Zuid

20.50 – lot „Brussels Airlines” do Oslo – 2 godz.

Bilet na 24 godz. w Oslo i na dojazd na lotnisko za 246 NOK od osoby (w cenie 2 dzieci do 17 lat)

Pociąg z lotniska do Oslo S – 20 min

Tramwaj 19 do Bogstadveien

Nocleg w mieszkaniu Forenom Serviced Apartments Oslo Rosenborg w Oslo

20 dzień

Przejazd tramwajem nr 19 do Oslo S i zostawiamy bagaże na dworcu kolejowym w szafkach (średnia 50 NOK na 24 godz.)

Oglądamy Operę i rzeźby w Parku Vigelanda. Do Parku Vigelanda jedziemy tramwajem nr 12 z dworca kolejowego.

Wracamy tramwajem nr 12 do Nationalteatren – spacer po nadbrzeżu Aker brygge, Nobel Centre i dalej Pałac królewski, ulica Karl Johans Gate, Parlament, Katedra Jemy obiad w barze tureckim

Przejazd z Oslo S pociągiem na lotnisko – 23 min

17.50 – lot „Wizzair” z Oslo Gardermoen do Gdańska – 1 godz. 30 min

21.05 – LOT z Gdańska do Warszawy (w ramach punktów milowych)

Katarzyna Anoszczenko (Zuza)

Washington – stan drzemiących wulkanów



Termin: 3–18 sierpnia 2019 r.

Uczestnicy: mama Zuza & Basia & Jaś

Trasa: Chicago–Washington: Seattle, Tacoma, Keyport (U.S. Naval Undersea Museum), Poulsbo (Sea Discovery Center), Port Gamble (Shell museum), Point Wilson Lighthouse, Fort Worden HSP, Sequim, Olympic National Park (Hurricane Ridge), Fort Townsend, Olympic National Park (Madison Falls, Marymere falls, Sol Duc falls, Sol Duc Hot Springs, Rialto Beach, Hoh Rain Forest, Ruby Beach, Lake Quinalt); Aberdeen, Raymond, Oceanview, Long Beach, Disappointment State Park, Fort Columbia HSP, Longview, Mt. St. Helen National Volcanic Monument, Gifford Pinchot National Forest, Mount Rainier National Park (Carter Falls trail, Narada Falls, Paradise area, Box Canyon, Grove of Patriarch trail), Buckley, Mount Rainier NP (Sunrise Area, Tipsoo lake, Paradise area – Glacier Point), Manhattan Project, Ginkgo Petrified SP, Lake Lenore Cave SP, Sun Lakes – Dry Fall SP, Steamboat Rock SP, Grand Coulee Dam, Winthrop, North Cascade National Park, Northern State Recreation Area, Big Four Ice Cave, North Fork Falls, Snoqualmie falls, Seattle (Bill Speidel's underground tour, Klondike NHP, Water Front, Pike Place Market, Lenin statue, Fremont Troll, Gas Work Park, Bruce Lee grave site, Jimi Hendrix memorial) – Chicago.

Koszt całkowity: 3257 USD

Przelot: Spirit Airlines, 3 bilety Chicago–Seattle, 745 USD

Auto: Alamo 753 USD/14 dni (SUV Hyundai Tucson, spalanie 27–28 mil/galon)

Koszt benzyny: 266 USD (2330 mil/3750 km)

Noclegi: 918 USD (10 x airbnb, 2 x kempingi, 2 x motele)

Przewodniki: Atlas topograficzny Washington – *Benchmark maps*, przewodniki z serii Falcon: *Hiking Waterfalls in Washington*, *Hiking Washington*, *Best easy day hikes Mount Rainier National Park*, *Olympic National Park best easy day hike*, *Mount St. Helen – best easy day hike*; *Washington (Moon)* Matthew Lombardi, *Seattle (Lonely Planet)*.

Junior Ranger Program: Program dla dzieci i młodzieży prowadzony w większości parków narodowych w USA (również parków stanowych w Kalifornii), którego celem jest zdobycie odznaki „Junior Ranger” danego parku. Dzieci (razem z pomocą rodziców) muszą rozwiązać zagadki i quizy, oraz odpowiedzieć na pytania znajdujące się w zeszytach ćwiczeń i wykazać się wiedzą na temat danego parku podczas „pytań egzaminacyjnych” zadawanych przez rangera. Czasami dodatkowo trzeba wziąć udział w jakimś programie czy obejrzeć film wyświetlany w Visitor Center, by zdobyć odznakę. Program jest bezpłatny, chociaż są od tego wyjątki – Yosemite National Park (zeszyt ćwiczeń kosztuje 8 USD). Każdy uczestnik składa uroczystą przysięgę przed rangerem, że zobowiązuje się do przestrzegania zasad chroniących przyrodę. Zabawne są sytuacje, kiedy dzieci, powtarzając słowa przysięgi, powiedzą za rangerem... „i obiecuję jutro rano przywieźć rangerowi świeże pączki i kawę”...

National & State Park Pass: Warto zaopatrzyć się w „pass” zarówno do parków narodowych (80 USD/rok), jak i stanowych (32 USD/rok), dzięki czemu bez żadnych ograniczeń i czasami kolejek przy wjeździe możemy zwiedzać parki. National Park Pass upoważnia też do wjazdu na tereny National Forest (jednorazowa opłata przy braku passu 5 USD/parking).

Pogoda: Washington kojarzy się chyba większości z nas z deszczową pogodą przez okrągły rok. Sierpień na szczęście należy do tych miesięcy, kiedy tych opadów jest najmniej i w większości dni świeci słońce. Upałów rzucających na kolana nie ma na szczęście, a średnia temperatura, jaką mieliśmy podczas dnia, wahała się pomiędzy 20–25°C.

RELACJA Z PODRÓŻY

Dzień 1–2

Lot z Chicago do Seattle mieliśmy niestety późnowieczorny i na miejscu wylądowaliśmy o godzinie 24.45. Po 4,5 godzinach siedzenia na prymitywnych, nierozkładanych fotelach tanich linii lotniczych Spirit (w towarzystwie podśmierdujących przybyszy z powiązanymi na supły reklamówkami) nie powitaliśmy raczej Washingtonu z promiennymi uśmiechami. Po wylądowaniu okazało się, że nie podstawiono „rę-kawa”, tylko musimy przejechać się autobusem na terminal. Przy okazji przy wyjściu z samolotu zaginął wózek Basi, więc objuczona nie tylko plecakami, kocami i innymi gadżetami musiałam jeszcze obciążyć swoje umęczone ręce ciężarem niemogącej się dobudzić Basi.

Po wczłganiu się do autobusu dostrzegłam w rękach jakiejś kobiety wózek Basi... Pani stwierdziła, że się po prostu pomyliła i capnęła naszą własność, myśląc, że należy do podróżującej z nią koleżanki. Przynajmniej po odzyskaniu zguby Basia zasiadła na swoim czterokołowcu i dalsza droga po bagaże odbyła się bez zbędnych obciążeń. Pomimo północy na terminalu panował ogólny bałagan, nikt podróżnych nie poinformował, że wewnątrzlotniskowy pociąg jest nieczynny, więc trochę pokrażyliśmy sobie, jeżdżąc w kółko po ruchomych schodach... i w końcu po odebraniu bagażu (jak zawsze dowóz siedzonek dla dzieci odbył się z opóźnieniem) ruszyliśmy autobusem do wypo-

życzalni Alamo po naszego bolidu. Stoisko wypożyczalni było już niestety zamknięte, a nasza rezerwacja „nie zadziałała”, w automacie więc zebraliśmy manatki i ruszyliśmy (z trudem odszukaną windą) do miejsca odbioru samochodów – piętro 4. Tu na szczęście pan (siedzący w małej budce) manualnie wklepał dane i auto, które zamówiłam (midsize SUV), okazało się dostępne. Po załadowaniu dzieci i gratów ruszyliśmy do najbliższej „rest area” (Sea-Tacoma rest area) na krótki odpoczynek. Wcześniej, organizując cały wyjazd, dokładnie sprawdziłam to miejsce, ale nie przewidziałam faktu, że inni podróżni też będą chcieli tu spędzić noc.

Dotarliśmy na miejsce tuż przed 3 nad ranem i ku mojej rozpaczy wszystkie miejsca były zajęte i cały wyjazd zablokowany przez śpiących w autach podróżnych. Jedno jedyne miejsce, do którego szybko się cofnęłam, było oznaczone jako 15-minutowy parking, ale pomimo to zdecydowaliśmy się tam zostać przez najbliższe 3 godziny, bo szukanie noclegu po ciemku w obcym mieście raczej nie wchodziło w grę. Rozłożyliśmy siedzenia i padliśmy zmęczeni jak konie po westernie...

O świcie ruszyliśmy na południe w stronę Tacoma shopping center po niezbędne wyposażenie na najbliższe 2 tygodnie. Zaczynając od Walmartu, REI (tu do nabycia National Parks Pass 80 USD, Discovery Pass – czyli wejściówka do parków stanowych 32 USD), Costco i kończąc na „dolarowcu”, gdzie młodzi wybrali sobie trochę niezbędnych zabawek jednorazowego użytku.

Ponieważ pogoda była przecudowna, zakupy zrobiliśmy w ekspresowym tempie i ruszyliśmy w kierunku Olympic National Park (którego zwiedzanie mieliśmy zaplanowane od jutra). Przejechaliśmy przez słynny Tacoma Narrows Bridge (płatny 6 USD, ale tylko w przeciwnym kierunku – Eastbund). Most, który po raz pierwszy został oddany do użytku w 1940 roku i niestety po 4 miesiącach funkcjonowania pod wpływem silnego wiatru rozhuśtał się do tego stopnia, że runął z wielkim hukiem do zatoki. Krótki filmik na YouTube dokładnie pokazuje całą tę katastrofę... <https://www.youtube.com/watch?v=nFzu6CNtqec>

Pierwszy dzień generalnie poświęciliśmy na rozkręcenie się w terenie i odwiedzenie kilku miejsc po drodze do naszego miejsca noclegowego w Sequim. Przejeżdżając (16-ką) przez zatokę Sinclair Inlet, mijamy potężne lotniskowce przycumowane w porcie. Miło usłyszeć wielkie „woooow”, z tylnych siedzeń... Janek – wielki fan statków i łodzi podwodnych też z wielkim „woooow” ogląda wszystkie wystawy i eksponaty w muzeum w U.S. Naval Undersea Museum (wstęp bezpłatny, 10–16, 1 Garnet way, Keyport). Następnie przemierzamy się do Poulsbo. Jest to niewielkie miasteczko wybudowane w stylu norweskim, którego główna ulica (Front Street) pełna jest klimatycznych restauracji, kawiarni i sklepików z pierdótkami. Ale nie to nas tu sprowadziło... Wielką petardą (nie tylko dla dzieci) jest SEA Discovery Center (wjazd bezpłatny, 18743 Front Street NE) (czynne tylko od piątku do niedzieli od 11–16). Tutaj możemy poobserwować kilkanaście różnych gatunków małych zwierząt żyjących w Oceanie Spokojnym. I nie tylko poprzez ich oglądanie, ale i... dotyk. W niewielkich basenikach znajdują się dziesiątki krabów, rozgwiazd, ukwiały, strzykwy, ośmiornica (tej nie dotykamy!!!!) i płaszczki, które potrafią się uśmiechać. Razem z wolontariuszem przez 1,5 godziny podziwiamy i dotykamy każdego okazu, słuchając jego ciekawych opowieści. Ciężko

mi zmobilizować dzieci do wyjścia, są tak zapatrzone w morskie stworzenia, że nawet przepukstwo w postaci obiecanych łodów nie zdaje egzaminu. W poprzednich latach podczas podróży po wybrzeżu Pacyfiku wielokrotnie zaglądaliśmy do przybrzeżnych baseników (*tide pools*) w czasie odpływów i widzieliśmy te wszystkie cuda na „żywo”, ale nigdy dzieciaki nie dostały zezwolenia na dotykanie i głaskanie. Mnie osobiście pochłania przemieszczająca się zgrabbie ośmiornica umiejscowiona w oddzielnym akwarium i śmiejące się, tańczące płaszczki.

Ośmiornice są drapieżnikami, mają po 3 serca i niebieską krew. Mogą zmieniać kolor i kształt i przechodzić przez przysłowiową dziurkę od klucza..., nie mając kości wsuną się wszędzie, gdzie nam może wydawać się to niemożliwe. Jedzą kraby, krewetki, homary, a nawet małe gatunki rekinów!!!! A same stanowią pożywienie dla fok, wielorybów, dużych ryb i człowieka. Ale polowanie na ośmiornice wcale nie jest takie łatwe – te w momencie zagrożenia rozpylają niebieski „atrament”, totalnie zabarwiając wodę, podrażniając oczy i dezorientując przeciwnika. Są bardzo inteligentne i sprytnie i potrafią zmieniać kolory, stapiając się z otoczeniem, przez co stają się niewidoczne. Po tej interesującej lekcji biologii ruszamy dalej na północ do Port Gamble i muzeum muszli (Shell museum 32400 N Rainier Ave czynne 11–19 codziennie oprócz wtorków). Jest to w zasadzie staroświecki sklep z pamiątkami oraz kawiarnia umiejscowiona na parterze, a część muzealna znajduje się na pięterku. Większość okazów pochodzi z Oceanu Spokojnego i Indyjskiego i jest to jedna z największych kolekcji muszli na świecie (ponad 2000 okazów).

Ostatnim punktem dnia dzisiejszego jest kolejna petarda – park stanowy Fort Worden (10 USD/auto lub Discovery Pass 32 USD/rok) i latarnia morska Point Wilson Lighthouse. Dla kogoś, kto lubi buszowanie po bunkrach, park oferuje wiele atrakcji. My zaczynamy od latarni morskiej (długość szlaku 0,2 mili). Jedziemy do samego końca parku, mijając po drodze kemping (80 miejsc z podłączeniem elektrycznym) i parkujemy na ostatnim parkingu przy samej latarni. W Washingtonie poza kilkoma wyjątkami (Mount Rainier NP) nie ma tłumów turystycznych, więc pomimo weekendu bez trudu znajdujemy miejscówki do zaparkowania. Krótki spacer prowadzi nas do bardzo malowniczej ponad stuletniej latarni, która zresztą pomimo posiadania statusu zabytku historycznego funkcjonuje do dzisiaj jako jeden z ważniejszych punktów nawigacyjnych w tym terenie. Niedaleko latarni znajdują się też pozostałości militarne, trochę już pordzewiałe, ale to właśnie one rozbudzają wyobraźnię dzieciaków, które przez kolejną godzinę bawią się w żołnierzy, wymachując patykami. Przemieszczamy się powoli po parku, zdobywając mapę w pobliskim sklepobazarze.

Zaczynamy od wyremontowanych wojskowych budynków – baraków w centralnej części parku, gdzie poza nami spacerują tu stada jelenków, podgryzając soczystą trawę. Fort Worden był strategicznym punktem mającym odpychać ataki nieprzyjacielskich statków zmierzających w kierunku Seattle, a jego budowę rozpoczęto pod koniec XIX wieku. Zamknięto go w 1953 roku, a 20 lat później utworzono na jego terenie park stanowy i kemping. Park obecnie oferuje aż 465 pokoi do wynajęcia dla tych, którzy nie są zwolennikami kempingowania. Organizowane są tu wszelkiego rodzaju konferencje i spotkania biznesowe i naukowe, z których dochód dostarcza sporych środków

finansowych parkom stanowym. Większość tych parków w USA jest niedofinansowana ze względu na brak funduszy, a tu natomiast biznes kwitnie... Tuż obok budynków wojskowych znajdują się 2 bunkry (*Putnam i Stoddard*), które oczywiście zwiedzamy. Po więcej wrażeń udajemy się jednak na szlaki w centralnej części parku (parkując w NW części zabudowań).

Zaczynamy od Battery Way East trail i skrótem – Powerhouse trail dochodzimy do pierwszych bunkrów (*Powell i Brannan*). Generalnie jesteśmy prawie sami na szlaku, co dodaje dodatkowego smaczku podczas penetrowania opuszczonych, „straszących” pomieszczeń ukrytych w zaroślach. W niektórych z nich musimy użyć latarek, bo bunkrowe tunele nie są oświetlone. Basia trochę z przerażeniem podchodzi do zwiedzania szczególnie tych miejsc, gdzie nie dociera światło słoneczne... Janek za to przejmuję całkowicie dowodzenie brygadą, wydając stanowcze rozkazy. Najważniejsza część bunkrów znajduje się w części szlaku Gun Line Road (kolor czerwony na mapie parkowej), tu ledwo udaje mi się za dziećmi nadążyć, przechodzimy przez tunel i przedzieramy się przez niezliczone korytarze połączone drabinami i schodami (bunkry *Ash, Quarles i Randol*). Dopiero tuż przed zachodem słońca kończymy naszą wycieczkę, jadąc bezpośrednio do miasteczka Sequim na nocleg, co zajmuje nam około 45 minut.

Dzień 3

Pobudka 5.30 rano, owsianka, kawa i jesteśmy gotowi na kolejny dzień pełen wrażeń. Wjeżdżamy na samą górę (17 milową) Hurricane Ridge Road. Nazwa „Hurricane Ridge” pochodzi oczywiście od wiejącego tu wiatru, którego prędkość dochodzi aż do 75 mil/godz., przyjmując niejednokrotnie formę huraganu. W Olympic National Park w zależności od odwiedzanej jego części możemy penetrować zarówno subalpejskie łąki i lasy, jak i poszarpane wybrzeże Pacyfiku lub też las deszczowy. My zaczynamy od części położonej najwyżej, ciesząc się wspaniałą słoneczną pogodą i perfekcyjną widocznością niezbędną do rozkoszowania się właśnie Hurricane Ridge. Trzeba tu przyjechać jak najwcześniej rano, żeby zaklepać sobie miejscówkę parkingową.

Parkujemy przy Visitor Center, skąd wychodzi kilka szlaków, którymi jesteśmy zainteresowani. Spacerujemy dookoła budynku, skąd mamy widok na Mount Olympus i lodowce, których zasięg (według wyczytanych przez nas informacji w przewodniku) znacznie zmniejszył się w przeciągu ostatnich stu lat ze względu na ocieplenie klimatu. (W parku znajduje się aż 60 nazwanych lodowców i ponad 200 nienazwanych). Największy lodowiec Blue Glacier ma długość 2,6 mili i znajduje się właśnie na Olimpiku. Widać go doskonale przez „lunetę” z tarasu widokowego. Z ciekawostek to możemy tu odwiedzić górę Olimp (2432 m n.p.m. – najwyższy szczyt w parku) bez podróżowania do Grecji. Niestety od dnia dzisiejszego najbardziej spektakularny szlak – Hurricane Hill trail jest nieczynny z powodu prac renowacyjnych, połączonych z wyłapywaniem dzikich kóz (*mountain goat*). Śnieżnobiałe uroczo wyglądające kozy pomimo „ozdoby” okolicznych gór stały się prawdziwą udręką dla parkowego ekosystemu, niszcząc prawie doszczętnie roślinność (szczególnie 16 gatunków endemicznych niewystępujących nigdzie indziej poza parkiem). Około sto lat temu 12 sztuk zostało wypuszczonych w okolicy jeziora Crescent, co spowodowało rozrośnięcie się stada do około, bagatela, 1000 sztuk w szczytowym okresie.

Od września 2018 roku złapano i przetransportowano 174 kozy do Cascade National Park (gdzie stanowią gatunek rodzimy i nie zagrażają nikomu i niczemu). Plan zakłada wyeliminowanie całkowicie z ekosystemu parku Olympic tych zwierząt. Kozy są łapane i transportowane przez helikoptery do tymczasowych polowych ośrodków weterynaryjnych i po dokładnych oględzinach i oznakowaniu wywozi się je klimatyzowanymi ciężarówkami do Cascade National Park, a wszystko dzieje się w ciągu 1 lub maksymalnie 2 dni. Już od dłuższego czasu próbowano wymyśleć rozwiązania na pozbycie się tych szkodników. Upadła koncepcja wprowadzenia wilków na teren parku..., bo te nie stanowią żadnego zagrożenia, zważywszy na fakt, że nie potrafią wspiąć się po stromych klifach jak czynią to kozy. Rozstawianie bloków solnych, które przyciągnęłyby kozy, też nie zdało egzaminu. Kozy potrzebują naturalnych solanek, by uzupełniać minerały w swoim organizmie. Takowych solanek nie ma w parku przez co najbardziej słonymi obiektami, przyciągającymi kozy stali się przedstawiciele *homo sapiens*. Wytwarzana sól w procesie pocenia w ludzkim ciele lub nawet mocz przyciągał je do tego stopnia, że zdarzały się nawet ataki na ludzi, którzy nie wyrazili zgody na „lizanie” i próbowali uciekać.

Kozy są zainteresowane nawet naszymi brudnymi skarpetkami i mogą nas za nie ścigać milami... Polowania są nielegalne na terenach parków narodowych, więc kolejna opcja odpadła. Kozy, nie mając naturalnego wroga, bardzo szybko się rozmnażają i według szacunków w przeciągu 5 kolejnych lat populacja około 700 kóz zwiększyłaby się o około 45%, dlatego podjęto tak „drastyczne” kroki w celu ich całkowitego wyeliminowania. Zniszczenia muszą być naprawdę wielkie, skoro akcja ta, przecież niesamowicie kosztowna, doszła do skutku. Łapanekami zajmują się prywatne firmy specjalizujące się w tropieniu, złapaniu i transporcie dzikich zwierząt, do których schwytania używa się naboju usypiających albo specjalnych zarzucanych na zwierzęta siatek. Miejmy nadzieję, że dzięki tej pracochłonnej procedurze przywrócenie zdrowego ekosystemu w parku dojdzie wkrótce do skutku.

Naszą wędrowkę rozpoczynamy przy Visitor Center (które jest jeszcze zamknięte), podchodząc najpierw do punktu widokowego (*overlook*), następnie Cirque Rim Trail przechodzimy do Sunrise point, gdzie mamy wspaniałą panoramę na wszystkie okoliczne góry, a potem wąskim szlakiem nad stromą przepaścią spacerujemy w kierunku Klahhane Ridge. Do góry i na dół, do góry i na dół... może około mili (cały szlak do Lake Angeles ma długość około 12 mil w obie strony), robimy sobie krótki odpoczynek i wracamy High Ridge Trail do Visitor Center, gdzie w ostatniej sekundzie załapujemy się na kolejną wycieczkę poprowadzoną przez rangerkę (w celu uzyskania obowiązkowego podpisu w zeszycie *junior ranger*). Godzinę zajmuje nam przejście Cirque Rim trail razem z dość sporą grupą ludzi, słuchając opowieści i wypatrując świstaków i chipmunków oraz uzupełniając zeszyt ćwiczeń. Tutaj jest właśnie najlepsze miejsce w całym parku do obserwowania świstaków, które w ciepłe, słoneczne dni uwielbiają wyłgiwać się w pozostałościach śniegu.

Jeśli ktoś nie spotkał nigdy tego gryzonia, to podam kilka interesujących faktów na jego temat – świstak wygląda trochę jak kudłaty kot z krótkimi nóżkami i z buzią wiewiórki, ma wielkie zębiska i gwizdże, kiedy poczuje zagrożenie. Te gryzonie hiber-

nują przez ponad połowę roku, zakopując się nawet do głębokości 7 metrów. Są przysmakami lisów, wilków, kojotów, niedźwiedzi, a nawet orłów, same zaś są weganami, chociaż czasami nie oprą się schrupaniu jakiegoś insekta.

Po powrocie z prowadzonej przez rangerkę wycieczki, dzieci składają uroczystą przysięgę przed głównodowodzącym rangerem i wyruszamy w kierunku Sequim. Przy wyjeździe z parku dostrzegamy niekończący się sznurek samochodów. Kiedy opuszczaliśmy parking przy Visitor Center zapchany do maximum, rozumiemy, dlaczego rangerzy na wjazdowej budzie wpuszczają auta tylko wtedy, gdy ktoś zjedzie z góry. Po wyjechaniu z parku jedziemy szybko do apteki w Walmarcie, bo niestety z moimi oczami dzieje się już bardzo źle... Są spuchnięte, czerwone i śący się z nich lepka żółta maź. Podejrzenie jest jedno: zapalenie spojówek, ale farmaceutka niewiele może tu pomóc. Stwierdza tylko, że potrzebny jest antybiotyk, który jest sprzedawany wyłącznie na receptę. A receptę mogę dostać od lekarza, ale pani nie zna żadnego okulisty w okolicy. Jest tylko pogotowie.

Za pośrednictwem mojego niezawodnego „superkontaktu” załatwiam receptę na antybiotyk, która jest wysłana bezpośrednio do apteki. W międzyczasie jedziemy do Port Townsend, by udać się promem do Casey State Park po drugiej stronie zatoki, gdzie w planie mamy penetrację kolejnych bunkrów. Niestety (czego nie przewidziałam przy planowaniu) nie posiadamy rezerwacji i pani grzecznie nas informuje, że musimy czekać do godziny 20.30... może wtedy będzie dla nas miejsce na promie. Taka opcja nie wchodzi oczywiście w rachubę, bo ostatni prom wypływający z Coupeville (Casey State Historic Park) jest o 21.10, czyli dopłynęlibyśmy do niego i tym samym promem musielibyśmy wrócić, nie wychodząc na suchy ląd. Zostajemy więc chwilę w miasteczku, spacerując główną ulicą (Water Street). Poniżej podaję moim zdaniem najbardziej efektownie prezentujące się budynki, które warto zobaczyć w Townsend: *Jefferson County Courthouse* (1820 Jefferson St), *Kelly Art Deco Light Museum* (2000 W Sims Way), *Starret House* (744 Clay Street), *Jefferson Museum of Art & History* (540 Water Street). W międzyczasie dostaję wiadomość od mojego „superkontaktu”, że moja recepta jest już przesłana do apteki w Walmart w Port Angeles, więc ile sił w opo-nach gnam po odbiór antybiotykowych kropli. Na moich spojówkach już zaczęły pojawiać się czerwone plamy. Pomoc więc nadeszła w ostatnim momencie. Śpimy w tym samym lokum w Sequim co poprzedniej nocy.

Dzień 4

Budzimy się znowu o świcie i pędzimy do kolejnej atrakcji w Olympic National Park – wodospadu Madison. W drodze do niego „przykleja się” do nas wóz policyjny, więc przez kolejne 15 mil jadę z wielkim skupieniem, żeby nawet o 2 mile nie przekroczyć dozwolonej prędkości. Ponieważ droga jest jednopasmowa, a linia na środku niej ciągła, panu policjantowi nie wypada mnie wyprzedzić... po jakichś 20 minutach takiej jazdy w pełnym skupieniu na drogę wylatują mi 2 sarny, powodując dosyć ostre hamowanie, i tu niestety sytuacja staje się nie do zniesienia dla mojego followersa... Światła dyskotekowe zostają uruchomione... pierwsza myśl, jaka wpada mi do głowy, to to, że pana policjanta wkurzyłam swoją przepisową jazdą. Ale po zjechaniu na pobocze radiowóz mnie wymija i jedzie ze swoją dyskoteką dalej przed siebie. Droga

Olympic Hot Springs Road jest niestety zamknięta z powodu zniszczeń powstałych w wyniku osunięcia się ziemi i dostęp mamy jedynie do ścieżki prowadzącej do tegoż wodospadu (na mili 2 droga jest zamknięta). Szlak jest bardzo krótki – około 0,2 mili chodniczką dochodzimy do małego punktu widokowego. Przez około 45 minut cieszymy się totalną samotnością, napawając pięknym wodospadem i strumieniem, gdzie młodzi budują tamy i generalnie relaksują się zabawą.

Wodospad ma wysokość 23 metry i powoli spływa po jaskrawozielonej omszonej skale, tworząc sielsko anielski klimat. Cudowne, klimatyczne miejsce. Zauroczeni tym wodospadem z radością udajemy się do kolejnego... Marymere falls (wysokość 37 metrów). Łatwym szlakiem (długość 1,8 mili) zaczynającym się przy Storm King Ranger Station, położonym nad krystalicznie czystym Crescent lake, prowadzonym tunelem pod drogą (101), przechodzimy w mroczną gęstwinę *rain forest*. Rosną tu jedne z najstarszych czerwonych cedrów (*red cedar*) na świecie. Zwisające z drzew mchy są bardzo charakterystycznym widokiem w tej części Olimpiku. Dochodzimy do małego drewnianego mostku i zaczynamy wspinać się po schodach do punktu widokowego. Jest to jednokierunkowa pętka ze względu na wąskość szlaku. Marymere przypomina trochę Madison Falls – długa nitka spadająca leniwie po omszonej skale. Wracamy tą samą drogą do auta, mijając już tłumy hikerów... Dojeżdżamy do kolejnego szlaku, prowadzącego do wodospadu Sol Duc falls. Jest to już maksymalnie oblegane miejsce, przyciągające szczególnie turystów z Azji.

Szlak jest stosunkowo łatwy i krótki (długość 1,6 mili) i zaczyna się na parkingu na końcu drogi Sol Duc Hot Springs Road. Parking załadowany jest po brzegi i mimo swoich okazałych gabarytów ciężko jest tu znaleźć wolną miejscówkę. Razem z chińskim tłumem brniemy w kierunku wodospadu. Uśmiechamy się pod nosem obserwując zachowanie tegoż tłumu. Selfie co 2 kroki, filmik i znowu selfie... cofanie się o 4 kroki i znowu filmik. Następnie zdjęcie wspólne robione przez spacerującego obok innego turystę. Klawiatura z chińskimi znaczkami, tego jeszcze w rękach nie miałam. Tu niestety da się zauważyć przysłowiowe „bydło” i porozrzucane śmieci. Sam wodospad ciężko jest uchwycić na zdjęciu, a o statywie na mostku (z którego jest najlepszy widok) nie ma mowy ze względu na ruch tupiących przechodniów. Jest to najmniej przyjemny szlak z tych 3, które dzisiaj przeszliśmy (właśnie ze względu na „towarzystwo”). Przy samym wodospadzie znajduje się *shelter*, będący doskonałym schronieniem przed deszczem lub po prostu bazą noclegową dla długodystansowych wędrowców. Największą atrakcją dla młodych jest zdecydowanie punkt nr 4 dzisiejszego dnia – Sol Duc Hot Springs, czyli gorące źródła. Pomimo że jest to miejscówka komercyjna, znajdująca się na terenie resortu wypoczynkowego, ma swój klimat.

Płacimy za wejście (15 USD dorosły/11 USD dziecko powyżej 3 lat, czynne w godz. 9–21), chowamy kosztowności do szafki z szyfrem (*locker*) (jeśli ktoś będzie miał problem z otwarciem szafki pomimo wpisywania prawidłowego pinu, trzeba poprosić obsługę o pomoc... my i kilku innych kuracjuszy takowy problem mieliśmy) i ruszamy na baseny. Są tu 4 baseny – 3 okrągłe, gdzie temperatura wody waha się pomiędzy 38–40°C i główny duży basen w kształcie litery L z temperaturą 29°C, gdzie oczywiście wariują wszystkie dzieciaki. Cudownie jest się wymoczyć w ciepłutkiej wodzie z wido-

kiem na okoliczne góry. Baseny są zamykane codziennie na okres 1 godziny w celu testowania jakości wody i jej oczyszczania. Późnym popołudniem opuszczamy gorące źródła i jedziemy już bezpośrednio na nocleg w Forks.

Dzień 5

Dzisiejszy dzień zaczynamy od spaceru po jednej z najpiękniejszych washingtonskich plaż – Rialto Beach, zatopionej w porannej mgle. Nagrodą za wczesne wstawanie jest oczywiście pusta przestrzeń wokół nas. Gigantyczne kłody wyrzuconego przez ocean *dryft wood* oraz miliony otoczków nadają niepowtarzalny charakter temu miejscu. Drewno przybyło tu podczas sztormów, wcześniej wymoczone i pozbawione kory. Rzeki transportują dużo drzew do oceanu. Lokalni rzemieślnicy wykorzystują je do robienia mebli, a one same w sobie tworzą artystyczne rzeźby. Wychodzi stąd cudowny szlak *Hole in the wall* (długość 3 mile), ale niestety protest mojej młodzieży doprowadził jedynie do grzebania lokalnie w piachu.

Czasami muszę zgodzić się na leniwszą formę spędzania czasu. Zresztą jesteśmy tu podczas przypływu i stan wody jest zbyt wysoki, by bezpiecznie pokonać niektóre odcinki szlaku, a rekomenduje się przybycie na miejsce około 30 minut przed najniższym stanem odpływu. Spędzamy tu wspaniałe 2 godziny, rozkoszując się poranna bryzą i przede wszystkim samotnością. Jadąc w kierunku południowym, w miasteczku Fork zatrzymujemy się tylko na minutkę, by zerknąć na zabytkową lokomotywę ustawioną po daszkiem przy głównej trasie (Tillicum Park). Jest to parowóz systemu *Shaya* (Rayonier #10), opracowany do poruszania się w górskich, krętych, systemach leśnych. Na chwilę zatrzymujemy się też przed Forks Timber Museum (przy głównej trasie 101, 1421 S Forks Ave, Forks) w celu zrobienia kilku zdjęć z wielkimi kłodami i starymi porzeczawymi pickupami.

Kolejnym punktem jest las deszczowy, czyli Hoh Rain Forest. Skręcamy ze 101 na Upper Hoh Road i tu po kilku milach jazdy trafiamy na największego marudera drogowego, jakiego można sobie wyobrazić. Pan prowadzi auto z prędkością 12–15 mil/godz. przy dozwolonym limicie 35 mil/godz. Po drodze nie ma za dużo do oglądania, nie ma też możliwości wyprzedzania ze względu na liczne zakręty... W niektórych miejscach w washingtonskich górach ustawione są znaki informujące, że nie można jechać wolno autem, mając za sobą więcej niż 5 aut, trzeba zjechać na pobocze i te auta przepuścić, żeby nie blokować ruchu. Ten pan ma to jednak daleko gdzieś. Po dojechaniu na miejsce, czyli do końca drogi pojawia się problem z parkingiem, ale jak większość „spóźnialskich” zaparkowaliśmy po prostu wzdłuż drogi na pochyłym poboczu. Ogromne tłumy turystów, jak się można było domyśleć, były też na szlaku, co całkowicie odebrało nam chęć chodzenia po tym unikalnym miejscu. W Visitor Center dostajemy od rangersa książeczkę ćwiczeń *Ocean steward*, czyli kontynuację programu *junior ranger* parku Olympic. Zaczynamy od szlaku Hall of Mosses (długość pętli 0,8 mili) i razem z głośnym tłumem krążymy wokół omszonych olbrzymich świerków sitkajskich, paproci i porostów.

Czegoś tu jednak brakuje... Jest gorąco i przez gałęzie przebija się palące słońce, to właśnie tu nie pasuje. Ponad 10 lat temu wędrowałam po tym samym lesie w siąpiącym październikowym deszczu i to jest właśnie ten brakujący kawałek układanki.

Deszcz pokazuje prawdziwe oblicze tego miejsca. Poza tym jak pada deszcz, to nie przychodzi tyle ludzi i można spacerować bez słuchania krzyków. Miejsce to poza hawajską wyspą Kauai otrzymuje największą ilość opadów na terenie USA, wpływając na kształtowanie się maksymalnie wilgotnego środowiska. Rocznie spada tu około 343 cm deszczu, a co ciekawe, w oddalonym około 30 mil miasteczku Sequim (gdzie nocowaliśmy przedwczoraj) opadów jest jedynie 40 cm rocznie (czyniąc Sequim miejsce na suchszym kawałkiem półwyspu).

Zaszywamy się w zaroślach i rozwiązujemy zadania w parkowym zeszycie ćwiczeń, by za chwilę odebrać kolejną odznakę – tym razem naszymywkę z napisem *ocean stuard*. Wracamy do auta, bo totalnie odechciewa nam się łożenia w takich mało sprzyjających warunkach, a dzieci intensywnie marudzą, że chcą z powrotem wrócić na plażę. Jedziemy więc na kolejną przepiękną plażę Ruby Beach. W zapakowanym po brzegi parkingu wyłapujemy ostatnią miejscówkę i przechodząc przez punkt widokowy schodzimy na niżej położoną plażę. Poprzez wielkie kłody (*dryft wood*) przeciskamy się w okolicę skalnych stożków (*haystacks*) i rzeki, gdzie młodzi spędzają kolejne 2 godziny, tworząc tamy i przenosząc wielkie otoczaki i kłody do oceanu. I znowu nie dają się namówić na spacer wzdłuż wybrzeża. Po 2 godzinach totalnie przemoczonych zabieram ich w końcu do samochodu. Rezygnujemy z zejścia na plażę nr 4, również rekomendowaną przez przewodnik (ze względu na wysoki stan wody i niedostępność *tide pools*). Jedziemy dalej w kierunku Lake Quinault. GPS nie działa przez cały dzień, ze względu na totalny brak zasięgu. Mamy mapę topograficzną, która w takich przypadkach jest oczywiście niezbędna. Skręcamy w drogę po południowej stronie jeziora i zatrzymujemy się na parkingu przy Quinault Rain forest trail (długość szlaku 0,5 m). Jako że obszar ten zarządzany jest przez lasy państwowe (National Forest), trzeba albo zapłacić 5 USD za parking, albo tak jak to jest w naszym przypadku zostawić w widocznym miejscu kartę *National Park Pass*. Szlak jest super łatwy i prowadzi nas pętelką wśród gęstej roślinności „dżunglowej”. Największą atrakcją dla dzieci jest tunel z kłody drzewa, przez który można swobodnie przejść (trzeba tylko mieć odpowiednio szczupłą sylwetkę). Podjeżdżamy następnie do zabytkowego hoteliku Lake Quinault Lodge, gdzie stoi imitacja studni porośnięta soczysto zielonym mchem. Wszystkie drzewa rosnące obok hoteliku są podpisane, dzięki czemu możemy zapoznać się trochę bliżej z otaczającym nas lasem. Podjeżdżamy kawałeczek na wschód, by przejść, a w zasadzie przebiec szlak (długość 0,2 mili) prowadzący do największego na świecie drzewa o nazwie „Big sitka spruce” (czyli świerku sitkajskiego), mierzącego 58 metrów wysokości o obwodzie prawie 18 metrów. Ten gigant jest świetnym placem zabaw z naturalną ślizgawką. Ostatnim już miejscem ze względu na zapadający zmrok jest znajdujący się kilka mil na wschód (drogą South Shore Road) wodospad Merriman Falls (12 metrów wysokości). Wodospad jest widoczny z drogi. Parkujemy na poboczu przy mostku i na chwilę wychodzimy, by przyjrzeć się mu z bliska.

Dzieci od razu gramolą się do rzeki... Niestety czas nas „goni” i musimy jechać w kierunku oddalonego o 45 mil Aberdeen, gdzie mamy zarezerwowany dzisiejszy nocleg. Przyjeżdżamy już po zmroku w siąpiącym deszczu i otrzymujemy wspaniałe powitanie. Dostajemy gorącą czekoladę i słodkie tosty oraz soczyste wiśnie na kolację.

Starsi państwo wynajmujący nam pokój są ekstremalnie mili, a do tego w domu są 2 psy, którymi zaczynają się nadopiekuńczo zajmować Jaś i Basia. Miasteczko Aberdeen jest raczej przytłaczającym miejscem. To tu urodził się i mieszkał *Kurt Cobain*, lider zespołu *Nirvana*. Miasto ku jego pamięci ufundowało m.in. pomnik w parku *Riverfront*, czy tablicę wjazdową do miasta z napisem *Come as you are* (tytuł jego piosenki), jest też wystawa poświęcona jego twórczości w Aberdeen Museum of history. Dla chcących odwiedzić więcej miejsc związanych z królem muzyki *grunge*, polecam mural przy 300 East Wishkah street czy gwiazdę Kurt Cobain star w samym centrum miasta.

Dzień 6

Zaczynamy dzień od nakarmienia kameleona. Basia dostaje zadanie wyszukania najtłustszego robaka w pudełku z trocinami. Wkłada następnie zdobycz do klatki potwora na specjalnie do tego celu przeznaczoną tackę, który to swoim wielkim jęzorem chwyta i pożera zdobycz „na naszych oczach”. Z kolei po naszym śniadaniu zaserwowanym przez gospodarza jedziemy na południe do Raymond słynącego z porożstawianych po całym mieście metalowych płaskorzeźb. Zatrzymujemy się przed zamkniętym o tak wczesnej porze muzeum powozów – Northwest Carriage museum (314 Alder Street, czynne 10–16, bilet 8 USD/osoba dorosła), by przespacerować się po pobliskim pomście i zrobić kilka fotek właśnie tym rzeźbom.

W siąpiącym deszczu wjeżdżamy następnie do Oceanview i Long Beach – typowych nadmorskich kurortów nastawionych na masową turystykę plażową. Według przewodnika punktem *must see* jest sklep – muzeum – badziewkarnia – Marsh’s Free Museum (wstęp bezpłatny), który poza pierdółkami prosto z Chin, posiada w swojej kolekcji sporo zabytkowych drobiazgów typu automaty do gier, drewniane zabawki, kasy, wagi, broń, wypchane zwierzęta (w tym dwugłowy cielak). Tylko 15 minut w zupełności wystarczy, by ogarnąć część wartą uwagi. Zaglądamy też na chwilkę do muzeum żurawiny (Cranberry museum 2907 Pioneer Road, Long Beach, wjazd bezpłatny). 30% amerykańskich zbiorów żurawiny pochodzi właśnie ze stanu Washington. Sos z nich zrobiony stanowi podstawowy dodatek do indyka serwowanego na Święto Dziękczynienia – czyli najważniejszego święta obchodzonego w Stanach Zjednoczonych. Ciekawie wyglądają zbiory tych owoców (tzw. *wet harvesting*). Na jesień pola zalewane są wodą do około 20–50 centymetrów wysokości, następnie ruch wirowy wytwarzany przez specjalne maszyny powoduje, że owoce odrywają się z gałązek i są transportowane do specjalnych pojemników. Nazwa (że też na to wcześniej nie wpadłam!) pochodzi od żurawia, którego szyja skojarzona została przez pierwszych Europejskich osadników właśnie z kształtem łodygi i kwiatów rośliny (*crane* – to żuraw po angielsku).

Po wyjściu z muzeum udajemy się na pole (które nie jest jeszcze zalane wodą) by zobaczyć z bliska krzaczki. Dzieciaki próbują skosztować surowe owoce, ale ich cierpko-kwaśny smak szybko zmienia ich miny w ekstremalnie skwaszone. Żeby ten smak zmienić, udajemy się w szybkim tempie na typowo wegańskie danie, czyli frytki z keczupem (bar *Hungry Harbor*). I z pełnymi brzuchami podjeżdżamy na plażę uliczką Sid Snyder Drive, by przespacerować się chwilkę drewnianym chodnikiem wzdłuż plaży, przy okazji zaliczając zdjęcie ze szkieletem (Gray Whale Skeleton) i rzeźbą wieloryba.

Na plaży generalnie panują pustki, poza kilkoma spacerowiczami i ledwo widocznymi w oddali jeźdźcami na koniach nic się tu nie dzieje. Jedziemy dalej na południe do Cape Disappointment State Park, i jak sama nazwa wskazuje przeżywamy tu... rozczarowanie. Najpierw zamknięta z powodu remontu latarnia morska (North Head Lighthouse), a następnie szlak, którym omyłkowo poszliśmy, błędnie podana informacja (a w zasadzie mapka) na moim planie podróży zaprowadziła nas donikąd... Wyszliśmy z parkingu Beard's Hollow trailhead i asfaltowym chodniczkiem (zwącym się Discovery Trail) szliśmy i szliśmy, mijając kolejne zejścia na plażę, rzekę i znowu zejście na plażę i tak po przemaszerowaniu ponad mili zdaliśmy sobie sprawę, że szlak ten prowadzi po prostu wzdłuż plaży aż do miasteczka Oceanview.

Plan zakładał dojście do klimatycznej zatoczki. Cóż, z pozytywnych rzeczy – spotkałliśmy tu 3 węże, kilka kolorowych ważek i mnóstwo, ale to mnóstwo soczystych jeżyn, które konsumowaliśmy z wielką rozkoszą. Jeśli ktoś podróżuje z rowerem – polecam ten szlak jako super nadoceaniczną rowerową przejażdżkę. Kolejnym i ostatnim naszym punktem dnia dzisiejszego jest Fort Columbia SHP. Dla wszystkich, którzy uwielbiają bunkry, kolejna super miejscówka do zabawy w wojnę. Jesteśmy tu zupełnie sami przez ponad godzinę. Dzieciaki kręcą swój własny film, wczuwając się w rolę i przenosząc w zupełnie inny świat. Ten niewielki fort został zbudowany na przełomie XIX i XX wieku w celu ochrony bardzo strategicznego miejsca, jakim jest ujście rzeki Columbia przed potencjalnym nieprzyjacielem nadciągającym z zachodu. Funkcjonował do momentu zakończenia II wojny światowej, a następnie przekształcono go w park stanowy.

Podobnie jak w odwiedzanym przez nas niedawno parku stanowym Fort Worden można tu wynająć pokoje czy całe domki. Cena za 12-osobowy w pełni wyposażony dom to 311 USD (plus podatek) za noc i nie wydaje się zbyt wygórowana. Znajduje się tutaj 12 historycznych budynków (niestety pozamykanych) i kilka bunkrów, do których możemy wejść. Podczas dwóch wojen światowych fort pełnił również funkcje typowe dla małego miasteczka. Miał swój szpital, straż pożarną, teatr, więzienie, elektrownię, a nawet własne krowy, by żołnierze mogli codziennie pić świeże mleko. I w tym punkcie kończymy naszą przygodę z wybrzeżem Pacyfiku i przejeżdżając na drugą stronę rzeki Columbia do Oregonu (GPS pokazuje 10-minutową przewagę czasową w dotarciu do celu) i po ponad godzinie docieramy do naszego docelowego miejsca – Longview. Wjeżdżając do miasta od strony Oregonu (przez most nad rzeką Columbia), odnosi się wrażenie, jakby wjeżdżało się do najbardziej uprzemysłowionego miasta USA. Kominy, fabryki, tartaki... Zdecydowanie nie jest to miejsce godne uwagi podróżniczej. Spędzamy tu tylko noc, robimy pranie i zakupy na najbliższe kilka dni (które spędzimy zdecydowanie z dala od centrów handlowych). Obraz miasta widzianego z okien naszego auta kreuje się raczej jako wynędzniały, a mieszkańcy wyglądają niestety na bardzo przygnębionych...

Dzień 7

O 6.30 rano opuszczamy zachmurzone Longview i prujemy autostradą (nr 5) na północ w kierunku Mount St Helens. Jest to najbardziej uczęszczana droga prowadząca w okolice wulkanu, przy której usytuowane są 3 centra turystyczne (Mt St. Helen Visitor Center, Mt St Helens Forest Learning Center i Johnson Ridge Observatory). Jadąc

od strony zachodniej, zatrzymujemy się na wielkim parkingu, skąd wychodzi krótki i prosty szlak Birth of lake (długość 0,5 mili – pętelka). Nie jest to szlak petarda, ale po długiej jeździe samochodem trzeba przegonić dzieciaki, by „atmosfera” wokół się oczyściła. Szlak prowadzi wzdłuż brzegu jeziora Coldwater, które utworzyło się podczas zatamowania ujścia rzeki (Coldwater creek) wielką lawiną błotną powstałą w czasie wybuchu wulkanu w 1980 roku. Spotykamy tu wiele gatunków kolorowych kwiatów i oczywiście krzaki soczystych dzikich jeżyn, którymi nie omieszkamy się częstować. Po pół godzinie jedziemy już dalej do końca drogi nr 504 do Johnson Ridge Observatory (8 USD/osoba dorosła lub National Park Pass), które wita nas spowite we mgle... Widoczność bliska jest zaledwie 2–3 metrom. Zaczynamy więc od obejrzenia filmu dokumentalnego o największej w historii Stanów Zjednoczonych erupcji wulkanicznej. Film i krótki wykład rangerki opowiadającej z wielkim zaangażowaniem o tym wydarzeniu pokazuje nam jego skalę. I choć wulkan posiada obecnie status „uśpionego”, po zapoznaniu się z faktami podnosi nam się znacznie poziom adrenaliny i dręczy nas myśl ...co by było, gdyby Helena teraz wybuchła? Sam wybuch wulkanu (18 maja 1980 roku) był poprzedzony wieloma trzęsieniami ziemi (przez okres ponad 2 miesiące).

Wydostająca się z wnętrza wulkanu magma spowodowała liczne pęknięcia po stronie północnej góry (na którą to część mamy obecnie widok przestłonięty gęstą mgłą), a silne trzęsienie ziemi tuż przed wybuchem wulkanu spowodowało duże obsunięcie się terenu na tej właśnie stronie, co odsłoniło na wpół stopniałą skałę przepętnioną gazami i parą wodną, które to eksplodowały kilkanaście sekund później. Wybuch utworzył kolumnę popiołu i gazów, która wzbila się na wysokość ponad 24 km w atmosferę, w zaledwie 15 minut! (W ciągu dnia, wiatr przewiał 520 mln ton popiołu i spowodował kompletną ciemność w oddalonym o 400 km mieście Spokane położonym na wschodzie stanu Washington). W tym samym czasie śnieg i lód z lodowców na szczycie Heleny zaczęły się topić, powodując rozległe masy błota spływające z prędkością dochodzącą do 145 km/godz. (tzw. *lahary*), wyrывая z korzeniami drzewa, niszcząc drogi i mosty. Szacuje się, że początkowa prędkość wybuchu wulkanu była około 350 km/godz., osiągając w szczytowym momencie ponad 1000 km/godz. i przekraczając prawie prędkość dźwięku. Obszar rozciągający się w promieniu 30 km (na N od Heleny) został doszczętnie zniszczony. Wysokość góry obniżyła się o 396 metrów. Do 2005 roku wulkan pozostał nadal aktywny. Jego eksplozje były już mniejsze, jednak charakteryzowały się silnymi wybuchami popiołu oraz przepływami lawy, która tworzyła nowe kopuły wulkaniczne w kraterze.

W ciągu tych lat kopuła stożka nadbudowała się o około 7% pierwotnej wielkości. Tak jak wspominałam wcześniej, erupcja Mount Saint Helen (18 maja 1980 roku) była najbardziej niszczycielskim wybuchem w historii Stanów Zjednoczonych, zarówno biorąc pod uwagę straty w ludziach, jak i straty ekonomiczne i przyrodnicze. Zginęło 57 osób, ponad 200 niedźwiedzi, 5000 jeleni, miliony ptaków i ryb, 9,4 milionów drzew, a 220 domów, 47 mostów, 24 km linii kolejowych i 300 km dróg zostało totalnie zniszczonych. Helena uwolniła ilość energii 20 tysięcy razy większą niż bomba atomowa w Hiroszimie. W obserwatorium oglądamy szereg ciekawych wystaw i opisanych na dysplejach sprawozdań ludzi, którzy przeżyli ten kataklizm. Można „wywołać” podsko-

kami trzęsienie ziemi na specjalnie to tego celu ustawionej platformie podłączonej do sejsmografu, czy zapoznać się ze wszystkimi skałami wulkanicznymi prezentowanymi przez rangera, zobaczyć kikuta drzewa, którego górna część została „ścięta” przez siłę wybuchu. Na koniec dzieciaki zdobywają odznakę *Junior Ranger* i wychodzimy na zewnątrz, by przyjrzeć się wulkanowi „z bliska”. Wiatr przewiał już mgłę i zza chmur wyłoniła się *sleeping Beauty*. Spacerujemy Eruption Trail, schodząc kawałeczek do Boundary trail. St. Helen pojawia się i znika za chmurami. Dłuższą wycieczkę w tej okolicy zostawiamy sobie na przyszłość, jak dzieciakom podrosną nogi i zechcą poddać się bez marudzenia wielkiej pasji hikerskiej. Celem jest zdobycie Helenki. Nie są do tego wymagane żadne techniczne umiejętności i jest to świetny szlak dla początkujących wspinaczy. Rocznie wydawanych jest aż 20 000 pozwoleń, przy sezonowym limicie 100 sztuk/dzień. Każdego roku w amerykański dzień matki (druga niedziela maja) wszyscy hikerzy (panowie i panie) wspinają się w kolorowych sukienkach, by celebrować ten wspaniały dzień!!! W Internecie można zobaczyć wiele śmiesznych zdjęć z tego dnia zrobionych podczas zdobywania wulkanu.

Wskakujemy do auta i prujemy na zachód, by autostradą (5) podjechać na południe 40 mil i zjechać z powrotem do „dżicy” na drogę nr 503, którą pokonujemy kolejne 40 mil na wschód i zatrzymujemy się (jak się okazało dla największej atrakcji dnia dzisiejszego wg najmłodszych) przy wyjściu na szlak Trail of two forest (długość 0,3 mile). Znajduje się tu miniaturowy *lava tube* – czyli tunel lawowy, gdzie z pomocą latarki można się poprzeciskać (jeśli ktoś nie cierpi na klaustrofobię oczywiście) przez tunel. W środku jest bardzo mało miejsca, ale nie sposób utknąć nawet przy większych gabarytach. Dzieciaki znalazły jeszcze drugie znacznie węższe wyjście, którego nie polecam jednak dorosłym. Te małe tunele powstały, gdy lava wlała się do lasu, zanurzając konary drzew i okrążając je. Konary się wypaliły i przestrzeń, która po nich pozostała jest właśnie tymi kanalikami, gdzie się z radością dziś przeciskamy. Z wielkimi oporami zabieram młodych z tego naturalnego placu zabaw i ruszamy na kolejny szlak – June Lake (długość 2,2 mile). Jesteśmy tu zupełnie sami! Wędrując po lesie, dochodzimy do cudownego małego jeziorka, w którym jak w lustrze odbijają się rosnące przy brzegu drzewa i wyschnięte konary. Jest tu tak cicho i spokojnie... (aż do momentu pojawienia się oczywiście nas). Ponieważ dzień nam się już niestety kończy, a w planie mamy jeszcze 2 atrakcje, ruszamy z powrotem do auta w dość szybkim tempie. Podjeżdżamy do Lava canyon trail, gdzie zamierzaliśmy podejść tylko do zawieszonego nad przepaściami mostu (0,7 mili w jedną stronę), ale ku naszemu wielkiemu niezadowoleniu okazuje się, że szlak jest zamknięty, bo tenże most się zawalił...

Pędem więc zawracamy do Ape cave (tunel lawowy), by tu trochę pobuszować z latarkami w ciemnościach jaskini, utworzonej podczas wybuchu St Helen około 1900 lat temu. Długość Ape to około 2,5 mili, my jednak penetrujemy tylko jej początkową część. Jest to jeden z najdłuższych i najbardziej dostępnych tuneli lawowych w USA. A powstał wskutek przepływu lawy (która zastygła w części górnej, podczas gdy w środku cały czas odbywał się jej przepływ). Basia nie jest jednak ich zwolennikiem. Rok temu w czasie wycieczki po północnej części Kalifornii odwiedziliśmy ich kilka (Lava Beds National Monument czy okolice Lassen Volcanic National Park) i Ba-

sia nigdy nie została ich wielkim fanem. Po 20. zajeżdżamy na kemping Beaver Bay (28 USD/noc), gdzie rozpalamy wielkie ognisko, niestety bez pieczonych kiełbasek na kolację. Kemping jest całkiem przyjemny, położony w lesie nad rzeką, miejsca są obszerne, dające dużo prywatności.

Dzień 8

Po rozgrzewającej porannej owsiance ruszamy dalej na podbój Gifford Pinchot National Forest. Drogą 90 i dalej 25 (N) dojeżdżamy do wyjścia na szlak prowadzący do najcudowniejszego wodospadu w okolicy Iron Creek Falls (wysokość 12 m). Najcudowniejszy, bo po pierwsze piękny w swej okazałości i bardzo fotogeniczny, a po drugie, turystycznie zapomniany, co oznacza 2 godziny w zupełnej samotności!!!! Szlak jest bardzo prosty – drewniane schodki pomagają w zejściu do poziomu rzeki (Iron creek). Można podejść do wodospadu, nie przechodząc strumienia lub przejść po wielkim powalonym konarze na drugą stronę i cieszyć się jeszcze piękniejszym widokiem wodospadu. Roślinność jest tu bardzo bujna, wręcz „dżunglowa”, a soczysta zieleń aż bije po oczach. Jest to jedno ze wspanialszych miejsc, jakie odwiedziliśmy podczas tych wakacji. Wracając do auta, spotykamy 3 dziewczyny, które się po prostu zgubiły z powodu braku zasięgu GPS – niestety tu nie działa. Tu na ratunek wkracza niezawodny atlas topograficzny, który rozwiązuje zagadkę zagubionych. Reakcja pań na widok mojego atlasu była zadziwiająca... „o!! ty masz mapę?” Jako przedstawiciel i fan tradycyjnej nawigacji poczułem wielką dumę z możliwości przyniesienia pomocy zagubionym turystkom. W wielu miejscach na zachodzie Stanów, szczególnie w obszarach zamieszkałych jedynie przez dziką zwierzynę, GPS po prostu nie działa, a drogi czasami nie są ponumerowane, więc nie ma możliwości poruszania się bez papierowej mapy topograficznej. Zresztą dla mnie to czysta przyjemność spojrzeć na mapę i wiedzieć co jest dookoła, jakie szlaki, góry, jeziora itp. GPS tylko tępo prowadzi czasami zresztą w przysłowiowe pole. Oczywiście w mieście jest niezastąpiony..., ale w miastach to my akurat bywamy rzadko i tylko przejazdem. Ruszamy dalej drogą nr 99 na zachód, by zaatakować stronę wschodnią Mt St. Helen.

Droga ta też jest bardzo słabo uczęszczana. Zaczynamy króciutkim szlakiem Meta lake trail (0,6 mili), który prowadzi nas do małego górskiego jeziora, o widocznie podwyższonym stanie wody na co wskazuje totalnie zatopiony taras widokowy. Następnie idziemy na wycieńczający szlak Harmony trail (długość 2,4 mili), prowadzący do jeziora Spirit. Jezioro to było popularnym wśród turystów miejscem wypoczynku aż do roku 1980, kiedy to wybuch Heleny totalnie zniszczył jego okolicę. Osunięcie się ziemi wywołało wielkie fale na jeziorze, które ogołociły sąsiadujące z nim zbocza z drzew, tworząc dryfującą po jeziorze wyspę, złożoną z milionów pni (zajmującą ponad 3 km²). Co ciekawe naukowcy odkryli, że wiele z tych drzew osiadło na dnie jeziora w pozycji pionowej, wyglądając jakby rosły tam przez lata. W sierpniu 1985 r. ustalono, że na dnie jeziora znajdowało się ponad 19 000 pionowo stojących kikutów drzew. Dane z sonaru i badania przeprowadzone przez nurków wykazały, że korzenie rozchodzą się promieniście od zatopionych drzew oraz że drzewa nie są ściśnięte w jedną masę, ale wyglądają tak, jakby kiedyś rosły w tym miejscu zupełnie normalnie i stopniowo zostały zalane przez wodę, a nie zmiecione przez wielką katastrofę. Kiedy dochodzimy do

Spirit lake, oczom naszym ukazuje się rzeczywiście tysiące dryfujących kłód. Pomimo całkowitego zakazu kąpieli kilkoro dzieciaków pływa i nurkuje przy brzegu, co wydaje się mało rozsądne, zważywszy na fakt, że w każdej chwili kilka wielkich kłód mogłoby się po prostu na nich stoczyć i spowodować wypadek. 40 lat temu podczas wybuchu woda ta się prawie zagotowała zaczęły rozwijać się bakterie i drobnoustroje, a wyglądem jezioro przypominało jedną wielką toksyczną breję o przerażającym składzie chemicznym. Wszystkie żyjące w niej stworzenia wyginęły. I chociaż wody spływające tu strumieniami i topniejące śniegi w znacznym stopniu oczyściły zbiornik, to jeszcze oficjalnie stan wody jest w procesie regeneracji. Zresztą naukowcy bardzo dokładnie badają wszystkie procesy zachodzące w jeziorze, przez co nikt nawet nie powinien tej wody dotykać. Ciekawostką jest jeszcze to, że podczas wybuchu wielki lahar, spływając na dno jeziora, podniósł jego poziom o ponad 60 metrów i zatkał jego jedyne ujście. W ciągu 2 kolejnych lat topniejące śniegi i deszcze podniosły poziom jeziora o kolejne 18 metrów.

Podwyższający się nieustannie stan wody zagrażał zerwaniem „laharowej” tamy i zalaniem obszarów położonych poniżej. W 1982 roku zaczęto przepompowywać nagromadzoną wodę (z prędkością ponad 300 m³ na minutę) do rzeki North Fork Toutle i jako dodatkowe rozwiązanie 3 lata później wydrążono 1,5 milowy tunel (o średnicy 3,5 metra) przez Harry's Ridge w celu utrzymania wody na bezpiecznym poziomie, dzięki czemu tereny położone poniżej jeziora mogą „czuć” się bezpiecznie. My krążyliśmy długo przemieszczając się pomiędzy, pod i ponad kłodami w celu znalezienia bezpośredniego dojścia do jeziora. Zawsze dochodzimy do miejsca, gdzie dalej iść nie możemy więc po prostu zawracamy i odpoczywamy na jednej z wielkich kłód od razu przy zejściu ze szlaku. Po krótkim odpoczynku dzieciaki z niechęcią spoglądają w stronę czekającego nas „morderczego” powrotu (1,2 mili pod górkę). Jak już udaje nam się dowlec na parking w nagrodę za wielki trud gotujemy sobie obiad... co w naszej wersji było uproszczoną formą posiłku i było zalanym wrzącą wodą proszkiem imitującym puree oraz wersją dla bardziej wymagających: zupka chińska z imitacją wołowiny. No nie powiem, żeby ten posiłek był rozkoszą dla podniebienia.

Dzieciaki wykrzywiały buzie z niedowierzaniem, że coś takiego można w ogóle nazwać jedzeniem i postanowiły zadowolić się paluszkami. Ruszyliśmy dalej aż do końca drogi na Windy Ridge viewpoint, na który to trzeba było wspiąć się po 370 schodkach. Widoki niestety przesłoniły nam liczne chmury, ale krajobraz otaczających gór i tak był zachwycający. Na tą wspinaczkę nałożyliśmy zimowe czapki, bo wiatr wiał z wielką prędkością, a temperatura też nie należała do najwyższych. Jak już wspięliśmy się do samego punktu widokowego otoczyła nas gęsta mgła, a więc trud poszedł na marne... Z punktu widokowego można dalej wędrować Independance Pass trail przez kolejne 1,5 mili. Słaba widoczność i silny wiatr jednak nie napawa nas optymizmem do przejścia tego szlaku. Schodzimy więc z powrotem po 370 schodkach na parking. To w zasadzie jest nasz ostatni punkt na dzień dzisiejszy. Wyruszamy w kierunku Mt Rainier National Park. Nasz prawy pas w drodze powrotnej nie należy do najbezpieczniejszych, droga jest miejscami ponadrywana i nie ma barierek ochronnych, co znacznie podwyższa mi oczywiście poziom adrenaliny. Dalszą podróż skracamy sobie kolejną tragicznie

wyniszczoną drogą 26 jadąc na północ i dopiero po przejechaniu Cispus River wracamy do cywilizacji. To był istny horror – pourywana i pozakręcana droga pełna dziur, prędkość maksymalna, jaką bezpiecznie dało się jechać, to 20 mil/godz... i do tego ani żywej duszy. Nasz kemping (Tainapam) okazuje się też nie lada wyzwaniem do odnalezienia. Gubimy się w lokalnych drózkach. W końcu przed samym zachodem słońca odnajdujemy zapchany po brzegi nasz nocleg... i przy akompaniamencie muzyki country rozpalamy ognisko. Wszystkie miejsca na kempingu są zajęte, ale jest to miejsce przeznaczone raczej dla stacjonujących wylegiwaczy leżakowych niż dla wędrowników.

Dzień 9

Wyjeżdżamy tak rano, że sami musimy sobie otwierać bramę wjazdową na kemping. Na kolejne 2 dni mamy zaplanowane zwiedzanie parku narodowego Mount Rainier. Pogoda raczej nie wróży nic dobrego... niebo jest spowite gęstą mgłą i siąpi deszcz. Drogą nr 7 podjeżdżamy najpierw do miasteczka Elbe, by zobaczyć kilka starych lokomotyw i wagonów (Mount Rainier Railway and Logging Museum) i już bezpośrednio drogą 706 wjeżdżamy od strony zachodniej do parku (wjazd 35 USD/auto lub Naional Park Pass). Zatrzymujemy się przy Longmire Information Center and Museum. Pomimo tak wczesnej pory ciężko jest tu znaleźć parking. Visitor Center jest jeszcze zamknięte, więc znajdujemy stół piknikowy i urządzamy sobie śniadanie w postaci rozgrzewającej owsianki. Od rangera dowiadujemy się, że droga wyjazdowa z parku nr 410 (Mather Memorial Parkway) jest zamknięta (co znacznie zmieni nasz pierwotny plan) z powodu osunięcia się ziemi (*landslide*). Cóż, wiadomość ta okaże się błędna, ale dowiemy się o tym dopiero jutro po południu. Jako pierwszy szlak wybieramy Carter Falls trail (długość 2,2 mili). Parkujemy jako pierwsi w zatoczce przy drodze, skąd wychodzi szlak. Schodzimy do koryta rzeki i chwilę krążymy wśród wielkich otoczków odnajdując drewniany mostek, przez który musimy przemieścić się na drugą stronę Nisqually River. Nie jest to mostek, a po prostu drewniana kłoda przecięta w pół... na szczęście z poręczą do przytrzymywania. Prędkość płynącej pod nami rzeki powoduje znaczne zawroty głowy. Idziemy pachnącym wilgotnym lasem, najpierw po płaskim, potem trochę się wspinaamy pod górkę. Widoki na rzekę generalnie przesłonięte są drzewami. Sam wodospad nie rzuca nas na kolana, tzn. sam w sobie wodospad jest ładny, tylko widok na niego niestety przesłonięty drzewami.

Po niecałych 2 godzinkach kończymy szlak, zatrzymując się na dłuższą chwilę przy rzece, by młodzie mogli sobie powrzucać do niej kamienie, jak się później dowiem w podsumowaniu naszego dnia, ten drewniany mostek był dla dzieciaków wielką pętarą i będą go przeżywać do końca naszej wycieczki (klasyfikując jako atrakcja pierwszej trójki). Jedziemy dalej na wschód i niestety z braku miejsca do zaparkowania odpuszczamy sobie widok na Christine Falls – słynny wodospad płynący pod kamiennym mostkiem. Udaje nam się natomiast złapać miejscówkę na parkingu, skąd wychodzi krótki, ale stromo spadający w dół szlak do Narada Falls (wysokość wodospadu 57 metrów, długość szlaku 0,2 mili). Jest to zdecydowanie jeden z najpiękniejszych wodospadów w okolicy. I zapewne też jeden z najczęściej odwiedzanych, dlatego z nami ogląda go ściśnięte razem jakieś kolejne 50 osób. Pogoda pogarsza się z minuty na minutę i gdy wjeżdżamy na pętelkę prowadzącą do najpopularniejszej części parku – Paradise,

widoczność jest praktycznie bliska zeru. Pomimo tak fatalnej aury stoimy w korkach i po przejechaniu całego parkingu zjeżdżamy z powrotem do głównej drogi, by podjąć kolejną próbę i zaatakować parking jeszcze raz. Tym razem wstrzeliwujemy się idealnie w opuszczaną właśnie miejscówkę. Przy tak znikomej widoczności jedyną rozsądną czynnością do zrobienia jest odwiedzenie Visitor Center, co też robimy. Tłum zajądających pizzę i inne fastfoodowe smakołyki opanował cały budynek. Do baru ustawiła się przeogromna kolejka, w całym budynku Visitor Center ludzie porozkładali się z jedzeniem, co raczej nie wygląda ciekawie. Nie ma dosłownie jak przeczytać informacji z displejów, bo wszystkie z nich poobsiadane są dookoła przez zażerających. W jakimś ostatnim wolnym metrze kwadratowym przysiadamy i my i rozwiązujemy zadania w zeszytce ćwiczeń *Junior Rangera*, po czym dzieciaki składają uroczystą przysięgę i kolejna odznaka ląduje przypięta na dumnej młodocianej piersi. Decydujemy się na zmianę jutrzejszego planu ze względu na fakt, że dzisiaj nie ma najmniejszego sensu wychodzenie na szlak w tej część parku, bo Mt Rainier jest zupełnie niewidoczny, a prognoza pogody pokazuje na jutro tylko częściowo zachmurzone niebo, co daje duże nadzieje na powodzenie jutrzejszej eskapady.

Zjeżdżamy więc z pętliki Paradise i jedziemy dalej na wschód, mijając spowite w gęstej mgłę Reflection Lake. Zatrzymujemy się zaraz za tunelem przy wyjściu na króciutki szlak do Box Canyon (0,4 mili). Spoglądając w dół ze szlakowego mostu, można dostać zawrotów głowy, bo kanion ma głębokość 55 metrów, przy szerokości zaledwie 4 metrów. Dalej mijamy Falls creek – widoczne z drogi i zatrzymujemy się przy wyjściu na szlak Grove of Patriarch Trail (długość 1 mila), który to prowadzi przez jednokierunkowy zawieszony most (*suspended bridge*). I właśnie most jest tu główną atrakcją dla dzieci, jak już odczekamy kilkanaście minut na swoją kolej, możemy śmiało „gęsiego” przedostać się na drugą stronę rzeki. Dzieci oczywiście rozhuśtują most, więc spacer dla mnie osobiście odbywa się z zawrotami głowy. Po tej atrakcji biegamy pętelką pomiędzy 500-letnimi drzewami (*Douglas Fir*, *Western Hemlock* i *Western Red Cedars*) i wracamy przez ten sam zawieszony most z powrotem do auta. Indianie zamieszkujący te tereny przez wieki używali kory żywotnika olbrzymiego (*Western Red Cedar*) do wyrobu koszy, mat, kapeluszy i nawet lin. Z bardzo odpornego na insekty i wilgoć drewna wydłubywali łodzie i strugali słupy totemowe, a z nasion i igiełek wytwarzali lekarstwa. W zasadzie tym krótkim szlakiem kończymy zwiedzanie na dzisiaj, pędząc drogą 410 w kierunku miasteczka Buckley, gdzie czeka na nas wspaniały nocleg w towarzystwie 2 kotów i wielkiego psiaka. Rezerwując wcześniej noclegi na *airbnb*, dostałam jednoznaczne wytyczne od młodych gniwnych, mam rezerwować tam, gdzie znajdują się minimum 2 koty... ewentualnie pies lub inny zwierz. Tu do dyspozycji mieliśmy 2 koty i wielkiego potulnego psa, którego ulubionym zajęciem było leżenie na kanapie i pozwalanie się wygłaskiwać.

Dzień 10

Dzień zaczynamy oczywiście o 5.30 rano i nie budząc domowników szybko organizujemy owsiankę i kawę, chcąc jak najszybciej dotrzeć z powrotem do Mt Rainier National Park. Basia ogarnięta szalem przytulania zwierząt niechący lub też chcący przestraszyła kota do tego stopnia, że ten biedny zwymiotował centralnie na podłogę

i uciekł, schowawszy się za wielką pralką. Basia po tym incydencie niestety wdepnęła w te wymiotki, roznosząc nieczystości po całym domu. A więc zamiast w spokoju wypić kawę, polatałam ze ścierką, czyszcząc (mam nadzieję) wszystkie ślady poszukiwaczki przygód. Popędziliśmy w kierunku jednej z piękniejszych części parku – Sunrise!!! I ku wielkiemu mojemu szczęściu słońce dzisiaj okazało się dla nas łaskawe, ukazując (w pełnej krasie) najwyższą górę Washingtonu – Mt. Rainier!!!! Moja radość nie zna granic. Potęgę i majestat tej góry można dopiero docenić, jak się ją zobaczy na własne oczy! Jest to jedna z najcudowniejszych gór, jakie widziałam w Stanach. Od strony Sunrise widzimy ją jak na dłoni. Decydujemy się na szlak prowadzący najpierw do Emmous Vista, a następnie dookoła Sunrise camp, co daje łączną długość około 2,5 mili. Szlak dostarcza wielu widoków na lodowce Rainiera. Prowadzi malowniczą ścieżką i o tak wczesnej porze jest praktycznie nieuczęszczany. Pomimo moich namówień nie udało mi się uzyskać zgody na przejście rimem (Sunrise Rim trail) w kierunku Burrougs Mountains. Dzieci wyraźnie nie są dzisiaj w formie, a żeby ich za bardzo nie drażnić przed kolejnym wyzwaniem, które je czeka, postanawiam zakończyć naszą wędrówkę w tym terenie na tym, co zrobiliśmy. O godzinie 9.37 byliśmy już po szlaku.

Rozmyślając w głowie kolejne posunięcie – wzięłam pod uwagę ważną informację uzyskaną przez rangersa o zamknięciu drogi 410 prowadzącej na wschód (Mather Memorial Parkway) do miasta Yakima i zdecydowałam, że skoro i tak już nie wrócimy w jej rejony, to wskoczmy na chwilę w okolice jeziora Tipsoo (szlak pętka o długości około 0,5 mili). Przebiegliśmy dookoła jeziora i wspieiliśmy się drogą na widok, który powinniśmy zobaczyć – czyli odbity Rainier w tafli tegoż jeziora. Widoku jednak nie udało nam się „złapać” ze względu na chmury, które właśnie przesłoniły całą górę. Następnie w bardzo szybkim tempie przedostaliśmy się w okolice Paradise. Tu oczywiście zastała nas tabliczka z napisem „Parking Full”. Pokrążyłam jak sęp kilka razy dookoła i tak jak wczoraj zdobyłam miejscówkę w okolicy zabytkowego *Paradise Inn*. Z wielkim entuzjazmem i wręcz podnieceniem ruszyliśmy w kierunku Glacier Point. Ścieżka jest naprawdę stroma!!!! Dosłownie co kilka kroków musieliśmy robić postoje. Na szczęście wszędzie biegały chipmanki, próbujące wysepić od ludzi jakieś smakołyki. Dzieciaki bardzo lubią te wiewiórkowatokształtne stworzenia, więc przestały marudzić i zaczęły wypatrywać je, przywołując do siebie. Im wyżej wchodziliśmy, tym widoki stawały się wspanialsze.

Do chipmanków doszły świstaki i zaczęliśmy zabawę, kto zobaczy ich więcej. Janek wygrał z wynikiem 14 sztuk. Spod Visitor Center można wybrać dowolny szlak, a i tak doprowadzi on nas do Glacier Point i dalej do Panorama Point. My zaczęliśmy wspinaczkę od Alta Vista (1810 m n.p.m.) idąc dalej Skyline Trail, doszliśmy do Glacier Vista (1930 m n.p.m.). Wszędzie otaczały nas piękne kwitnące kwiaty. Widok z tego miejsca dosłownie rzuca na kolana!!!! I dlatego poza nami są tu też setki innych, pragnących uwiecznić ten widok na zdjęciu. Bardzo, ale to bardzo chciałam dotrzeć do Panorama Point, jednak z powodu braku słodyczy i ogólnego zmęczenia pozostałej części zespołu niestety zostałam przegłosowana, otrzymując isierkę nadziei od Janka, który obiecał mi, że następnym razem zrobimy cały szlak. Wracamy do samochodu szlakiem Deadhorse creek trail i Nisqually Vista Trail (1,2 mile), który ma akurat najmniej ciekawe

widoki, w większości przesłonięte przez drzewa. Wracając, zajrzeliśmy jeszcze do VC, aby zapytać o drogę nr 410... i ku naszej radości rangerka powiedziała nam, że droga jest czynna, a tylko jeden pas był zamknięty ze względu na obsunięcie się góry. OMG... jedziemy więc znowu w to samo miejsce... skręcając w kierunku Tipsoo lake, gdzie zatrzymujemy się znowu w zatoczce przy drodze, by zrobić zdjęcie odbijającego się w tafli jeziora Rainiera... i znowu chmury niestety zasłoniły nam superbohatera. Wyjeżdżamy więc z parku, jadąc w zasadzie w samotności pośród gęstych lasów Winatchee National Forest.

Po dojechaniu do cywilizacji w okolicy Yakima jakiś czarny batmański samochód sportowy siada mi na ogonie. Zauważam go w lusterku, ale aż do chwili włączenia świateł dyskotekowych nie zdaję sobie sprawy, że może to być stróż prawa chroniący użytkowników drogi przed nadużywającymi prędkości. Pan policjant w wielkim kapeluszu zagląda do naszego samochodu poprzez okno pasażera, wtykając dokładnie swój nos pomiędzy suszące się lub raczej wietrzące, dyndające skarpetki... co zamiast zachowania powagi w zaistniałej sytuacji powoduje mój niemogący się opanować uśmiech. Niestety chyba z politowania (patrzac na nasz wielki bałagan panujący we wnętrzu auta i mój brak pamięci... gdzie zmierzam)... pan policjant daruje nam wypisanie mandatu, przestrzegając tylko, że w obszarach zabudowanych na autostradzie muszą zmniejszyć prędkość do 60 mil/godz. Jednym słowem 150 USD zostaje w mojej kieszeni. Do samego Richland jedziemy więc już przepisowo. Przed samym miasteczkiem dopada nas chmara owadów, która rozciapując się na przedniej szybie – dosłownie zabiera 100% widoczności. Wycieraczki nie dawały rady, trzeba było zjechać na stację i szorować myjkami przez dłuższą chwilę. Nasz dzisiejszy nocleg *airbnb* ma dodatkową atrakcję – jacuzzi, co dzieciakom i mi oczywiście sprawiło nie lada przyjemność!

Dzień 11

Dzisiaj czeka nas wycieczka do Hanford (B Reactor Tour) – jednego z 3 miejsc w USA, gdzie podczas II wojny światowej pracowano nad wynalezieniem bomby atomowej, którą następnie zrzucano na Hiroszimę i Nagasaki w Japonii. Nazwa tego największego w dziejach świata programu badawczego to Manhatan project. Zadaniem naukowców tam pracujących było wynalezienie niszczycielskiej broni o niespotykanej dotąd sile, by móc przyspieszyć tym zakończenie wojny. Do tego prace przebiegały w zastraszająco szybkim tempie, mając na celu prześcignięcie wrogów, którzy też nad podobnym projektem pracowali. Całe przedsięwzięcie pochłonęło ponad 2 miliony dolarów – sumę w ówczesnych czasach przeogromną, a Reaktor B to największy reaktor atomowy zbudowany kiedykolwiek na świecie. W 2008 roku oddano te obiekty (Hanford, Washington; Oak Ridge, Tennessee i Los Alamos, Nowy Meksyk) w „opiekę” do National Park Service, który bezpłatnie organizuje wycieczki dla chętnych, po wcześniejszej rezerwacji. Aż ciężko jest sobie wyobrazić, że pracowało tu ponad 51 000 osób i wszystko działa się pod ściśle tajnymi wytycznymi. Robotnicy wiedzieli tylko, że pracując przyczyniają się do zakończenia II wojny światowej... i na pewno nie zdawali sobie sprawy, że obcują na co dzień z silnie radioaktywnym plutonem, który jest zabójczy dla ich życia i zdrowia.

Po zakończeniu tego projektu pozostało aż 53 miliony galonów wysokoradioaktywnych śmieci, które zalegają tu do dzisiaj. A więc przez 4 godziny będziemy znajdować się w strefie silnie skażonej, chociaż, jak zapewnia przewodnik, nic nam nie grozi. Wycieczka zaczyna się o 9 rano krótkim wykładem i filmem na temat reaktora. Następnie zostajemy załadowani do autokaru, który wiezie nas do pilnie strzeżonej fabryki, gdzie po krótkim wykładzie kolejnego przewodnika mamy czas wolny do penetrowania całego budynku. O godzinie 12.45 jesteśmy z powrotem w Richland. W Visitor Center dostajemy też książeczkę do programu *Junior Ranger* i, prawdę mówiąc, rozwiązanie w niej zadań nie należy do najłatwiejszych. Musimy więc podpytywać co chwilę przewodnika, bo temat, z jakim mamy do czynienia, jest niezwykle trudny również dla mnie. W końcu jednak dzieci cieszą się kolejną zdobytą odznaką.

O godzinie 13 opuszczamy miasteczko i po szybkim lunchu jedziemy do Ginkgo Petrified state park (10 USD/auto lub Discovery pass). Jest to małe muzeum, w którym możemy podziwiać skamieniałe drzewa, pochodzące właśnie z tej części Washingtonu, a datowane na ponad 15 milionów lat. Muzealne okazy skamieniałych drzew są wyszlifowane i polakierowane i możemy podziwiać ich przekroje... (dla mnie najpiękniejsze to: klon i dąb oraz cyprys). Dawno temu obszar ten charakteryzował się znacznie wilgotniejszym klimatem i porośnięty był głównie przez gatunki drzew liściastych niespotykanych już dzisiaj. Były to głównie wiązy, orzechowce i jawory. Tereny bagienne najniżej położone porastał las cyprysowy. Tereny najwyżej położone – jodły i świerki. Wśród tych drzew rósł również jeden z najstarszych gatunków – na świecie – miłorząb – drzewo dziś już bardzo rzadko spotykane (W Ameryce całkowicie wymarłe kilka milionów lat temu, a introdukowane jako drzewo ozdobne w XIX wieku). Część z tych drzew została pokryta wodą, glebą, błotem i następnie lawą i przetrwała do naszych czasów, ujawniając się po ostatniej epoce lodowcowej (podczas wielkiej erozji) jako 259 gatunków skamieniałych drzew. Z reguły jeśli drzewo zakopie się pod ziemią, zacznie po prostu gnić, ale kiedy wody gruntowe zawierają wystarczającą ilość krzemionki i innych minerałów pochodzących z pyłów wulkanicznych, rozpoczyna się nieodwracalny proces *petryfikacji*, czyli *skamieniania*, a drewno zamienia się w kamień. Na te skamieniałości natknęli się jako pierwsi robotnicy drogowi w roku 1927, ale dopiero 4 lata później trafili tu geolodzy, między innymi George F. Beck, którego to wręcz zszokował widok wielkiej skamieniałej kłody ciągniętej przez lokalną ciężarówkę wzdłuż rzeki Columbia. Od razu razem ze studentami rozpoczął on wykopaliska, identyfikując wiele różnych gatunków drzew, między innymi właśnie niespotykany na tym terenie miłorząb (*Ginkgo*). Po wielu staraniach w 1938 roku utworzono na tym terenie park stanowy Ginkgo Petrified i ustanowiono całkowity zakaz zbierania skamieniałości.

Muzeum należące do parku stanowego jest małe i wystarczy około 20 minut, by przyjrzeć się starannie wszystkim okazom. Podjeżdżamy kawałeczek do kolejnego ciekawego miejsca – sklepu Ginkgo Gem Store (z wielkim dinozaurem przed wejściem), posiadającego w sprzedaży nieprawdopodobnie piękne okazy skamieniałych drzew – od drobnych, które można kupić za kilka czy kilkanaście dolarów, po wielkie i okazałe sztuki, na które stać zapewne niewielu. My wielcy fascynaci geologii zakupujemy kilka

kilogramów tychże okazów, które będziemy musieli przewieźć w kieszeniach, bo waga naszej walizki niestety nie pozwala na jakikolwiek dodatek. Prawdę powiedziawszy, to można tu zobaczyć jeszcze ciekawsze okazy niż w muzeum.

Po tych ekscytujących zakupach podjeżdżamy 2 mile na zachód do wyjścia na szlak Trees of stone Interpretive trail. Całkowita długość szlaków to około 2,5 mile (ale można sobie łączyć mniejsze szlaki dowolnie). Szlak, który znacznie skracamy, prowadzi nas po zupełnej „patelni” pozbawionej cienia. Co kilkadziesiąt metrów możemy zauważyć różne skamieniałe drzewa zamknięte w metalowych klatkach. Niesamowicie co kryje się pod cienką warstwą gleby. Okropny upał przegonił nas szybko do auta w poszukiwaniu klimatyzowanego odpoczynku. Przejeżdżamy nad majestatyczną Columbia River i skręcamy na północ, sunąc przez isticie pustynny krajobraz. Na chwilę zatrzymujemy się przy Wild Horses Monument (kilka metalowych koni wbitych w szczyt góry) i wymęczeni upałem jedziemy już bezpośrednio do motelu w miasteczku Ephrata. Motel Rodeway Inn jest totalnie obleśny i zamieszkały przez robotników, co czyni go najgorszym naszym noclegiem podczas wycieczki. Do tego czeka nas ciekawa niespodzianka pływająca w kibelku... jak widać, sprzątaczką nie popisała się swoimi umiejętnościami w dniu dzisiejszym.

Dzień 12

Jeszcze przed 6 rano opuszczamy noclegownię i zatrzymujemy się dopiero nad Soap Lake. Jest to zasadowe jezioro bogate w minerały, dające wodzie „mydlany” charakter. Zanurzamy ręce w wodzie i rzeczywiście jest ona śliska w dotyku... tak jak woda mydlana. Przeprowadzono badania, że woda ta działa leczniczo na chorych, mających wieloogniskowe zapalenie małych i średnich tętnic i żył (Choroba Bürgera), na którą zapadają młodzi panowie palący lub żujący tytoń. My leczyć się z tej dolegliwości nie musimy, więc jedziemy dalej do petardy dnia dzisiejszego – Lake Lenore Trail (Lake Lenore Cave State park (długość szlaku 1,5 mili, parking 10 USD lub Discover Pass). (Dojeżdżamy do szlaku szutrową drogą odchodzącą na NE od drogi nr 17). Zapewne z powodu bardzo wczesnej pory jesteśmy tu jako jedyni!!! Zaczynamy wędrówkę przezierając się przez zarośla (mojego ukochanego) *sagebrush* (*Artemisia tridentata*)!! Następnie wchodzimy po wyrzeźbionych w skale wulkanicznej schodkach i skręcamy w prawo (na S), gdzie prowadzi bardziej „wyraźny” i bezpieczniejszy szlak. Kierując się na południe, mijamy kolejno 7 różnej wielkości jaskiń wyłobionych w wulkanicznych czarnych skałach. Jaskinie te powstały poprzez wypłukiwanie kawałków bazaltu przez roztopowe wody największej w dziejach świata powodzi – Missoula Floods pod koniec epoki lodowcowej.

Po stronie prawej mamy przepiękne widoki na błękitną taflę rozległego jeziora Lenore. Szlak kończy się przy najgłębszej jaskini, do której schodzi się w dół ścieżką – pętłą. Spacer jest bardzo przyjemny, zważywszy na fakt, że słońce jeszcze nie zdążyło rozgrzać bazaltowych skał i generalnie cały czas wędrujemy w cieniu. Wędrówka w samo południe na pewno nie należałaby do najprzyjemniejszych. Uważać trzeba tu na grzechotniki, które lubią chować się pod kamieniami w poszukiwaniu schronienia przed palącym słońcem. Około 5 tysięcy lat temu jaskinie te używane były przez prehistorycznych ludzi, którzy znajdowali w nich tymczasowe schronienia podczas polowań,

które odbywały się na tym terenie wiosną i latem. Świadectwem ich pobytu są petroglify, których pozostałości gdzieś tam możemy dostrzec na skałach, a także resztki prymitywnych narzędzi i broni, które tu znaleziono (tych nie dostrzegamy). Szlak kończymy jeszcze przed 8 rano... Kiedy to rosnąca w bardzo szybkim tempie temperatura staje się powoli nie do zniesienia.

Kolejną atrakcją na naszej trasie jest park stanowy Sun Lakes – Dry Fall. Z drogi nr 17, którą podążamy na północ, zjeżdżamy na Bark Lake Road. Po przejechaniu niewielkiego kawałka okazuje się że jest zamknięta, wybieramy więc następną możliwą odchodzącą na prawo, by dostać się, do rozciągającej się przed nami doliny. Jedziemy cały czas w dół, mijając olbrzymie połacie *sagebrushowych* krzaków, porastających cały ten obszar. Dojeżdżamy do jeziora Deep lake, ale generalnie nic nas tu specjalnie nie zaintryguje, więc po 2 minutach jesteśmy już z powrotem, kierując się do głównej drogi i zatrzymujemy się przy Dry Falls State Park Visitor Center. Jest to ulokowane na pięterku małe centrum informacyjne obsługiwane przez bardzo miłego pana rangersa, który z wielkim zaangażowaniem opowiada o geologii tego obszaru. Dry Falls były niegdyś najpotężniejszymi wodospadami na świecie... (122 m wysokości i 5,6 km długości). Był to rezultat wielkiej powodzi zwanej Missoula flood, która miała tu miejsce w plejstocenie ponad 17 tysięcy lat temu. Lodowa tama, która „trzymała” masywne jezioro Missoula, dosłownie runęła... pozwalając 60-metrowej ścianie wody rozlać się po całym obszarze.

Potęę tej powodzi porównuje się do 10-krotnie większego przepływu wszystkich dzisiejszych rzek na świecie. Kiedy cała woda przepłynęła przez zerwaną tamę pozostały jedynie „suche wodospady” na które właśnie patrzymy. Obok Visitor Center (i oczywiście z okien samego budynku) mamy wspaniały widok na suche wodospady i próbując uruchomić wyobraźnię widzimy je podczas wielkiej powodzi, to dopiero musiał być widok. Wskakujemy do auta, włączając klimatyzację na maksimum. Jesteśmy na kamienistej pustyni pokrytej czarnym rozgrzanym bazaltem i przebywanie na zewnątrz staje się po prostu nie do zniesienia. W Coulee City zbaczamy nieco z naszej wyznaczonej trasy w celu odnalezienia Summer falls, utworzonych na tamie wodospadów, których to zdjęcie zaintrygowało mnie podczas „wędrowki” po *google earth*. Niestety po dojechaniu do bramy wjazdowej do elektrowni, zastajemy ją zamkniętą na 4 spusty bez jakiegokolwiek możliwości ujrzenia wodospadu. Podjeżdżamy następnie do parku stanowego Steamboat Rock, gdzie podobno można spotkać pelikany, ale te widocznie z powodu niesamowitego upału pochowały się w krzakach. Przejeżdżamy do końca parku – do rampy, gdzie przycumowane są dziesiątki łódek i motorówek, do których włączają się zmęczeni słońcem turyści, i zwracamy z powrotem do głównej drogi 155. Nie ma tu w zasadzie nic do robienia poza kempingowaniem, spacerem wzdłuż drogi i pływaniem łódką. Steamboat Rock, od której pochodzi nazwa parku, to bazaltowa kopuła wznosząca się 240 metrów nad jeziorem Banks, przypominająca rzeczywiście statek parowy.

W ogóle cały krajobraz dookoła nas jest bardzo ciekawy – powulkaniczne słupy bazaltowe kontrastujące z intensywnie niebieskim niebem, szarym *sagebruschem* i zielonymi trawami. Wyruszamy dalej w kierunku Grand Coulee Dam – najpotężniejszej

elektrowni wodnej w Stanach (i jednej z największych na świecie). Jest to największe źródło energii na całym Northwest, zaopatrujące przez okrągły rok około 4,2 miliona gospodarstw domowych. Produkuje się tu ponad 3 razy więcej energii elektrycznej niż w znanej większości odwiedzających Las Vegas elektrowni Hoover Dam. Jest to największa betonowa konstrukcja w USA (długość prawie 1600 metrów, a wysokość 168 metrów), proszę sobie wyobrazić, że jeśli zbudowalibyśmy chodnik o szerokości 1,2 m i grubości 10 cm, to otoczylibyśmy równik 2 razy (80 000 km)! Z tak wielkiej ilości betonu moglibyśmy zbudować autostradę łączącą Seattle z Miami na Florydzie. Początki tego wielkiego przedsięwzięcia sięgają roku 1930, kiedy to obszar ten zasobny w dobre gleby potrzebował solidnego nawodnienia, by móc dawać bogatsze plony rolnicze. (Obecnie nawadniane jest ponad pół miliona akrów ziemi, dając plony o wartości ponad 500 milionów USD). Również brak energii był dużym problemem na tym obszarze. Jednocześnie wielka rzeka Columbia dawała duże możliwości rozwoju tego odizolowanego terenu. Prezydent Franklin Roosevelt wyznaczył na ten cel 168 milionów USD, co w tamtych czasach dawało tamie przywilej największej „rzeczy” zbudowanej przez człowieka. Ponieważ był to obszar „święty” dla Indian, z których zdaniem nikt się nie liczył w tamtych czasach, po wielu ciągnących się w czasie bataliach wywalczyli dla siebie 53 miliony USD jednorazowego odszkodowania plus coroczną opłatę 15 milionów dolarów. Budowa tej tamy, pomimo wielu korzyści, odcisnęła też olbrzymie piętno na naturze. Łososie zmierzające rzeką Columbia do miejsca swojego urodzenia w celu złożenia jaj, nie dostaną już nigdy tej możliwości. My przyjeżdżamy tutaj o godzinie 11 i za namową pani z Visitor Center (czynne 9–21.30), kierujemy się bezpośrednio na „Tour parking” po wschodniej stronie tamy. Z tego miejsca co godzinę rozpoczyna się bezpłatna wycieczka (John W Keys III Palnt Guided tour). W samochodzie musimy pozostawić wszystko poza butelką wody, kluczami i aparatem fotograficznym.

Punkt 12.00 rozpoczynamy od „Check point’u”. Uzbrojony po zęby policjant i 2 ochroniarzy kieruje nas w stronę wykrywacza metali, jak widać, traktują swoją pracę bardzo poważnie. Poniekąd jest to punkt strategiczny narażony na atak terrorystyczny, środki najwyższej ostrożności muszą być przestrzegane w 100%. Wsiadamy do autobusu i zostajemy wywiezieni na stronę zachodnią tamy, gdzie winda zwozi nas do najniższej części tamy. Tam przez oszklony punkt widokowy możemy popatrzeć sobie na turbiny. Pan przewodnik nie jest zbyt rozmowny, i generalnie zależy mu na jak najszybszym zakończeniu wycieczki, więc po 3 minutach wjeżdżamy z powrotem na górę i na chwilę zatrzymujemy się w punkcie widokowym na zewnątrz, po czym zostajemy odstawieni na wschodnim parkingu. Znużeni, mówiąc delikatnie, mało ciekawą wycieczką, podjeżdżamy do VC, gdzie spędzamy następną godzinę. Dzieciaki zasiadają przy stole pełnym baterii, kabelków, silniczków i wiatraczków i tworzą własne miniroboty, a ja biegam po całym budynku, analizując informacje z wyczytanych tablic informacyjnych. VC jest nowocześnie urządzone z masą ciekawych wystaw, ale niestety z powodu jakiejś awarii nie jesteśmy w stanie skorzystać z kinowego pokazu. Codziennie wieczorem około 21 odbywa się tutaj 30-minutowy *Laser Show*. Widziałam ten pokaz 11 lat temu i szczerze mówiąc szau nie było... ale podobno zostały wymienione i unowocześnione lasery, przez co pokaz jest bardziej spektakularny. Po zakończe-

niu naszej przygody z tamą zostaje nam już ostatnia atrakcja do zobaczenia – Shafer historical museum w naszym docelowym na dziś miasteczku Winthrop. Gnamy więc przez pustynię i pastwiska pełne bydła, przeżywającego *sagebushowe* krzaczki, przez kolejne 2 godziny. Krajobraz powoli zmienia się i mijamy sady pełne soczystych jabłek i brzoskwiń, a następnie wzgórza porośnięte coraz to dorodniejszymi sosnami *ponderosa pines*. Pod muzeum podjeżdżamy godzinkę przed jego zamknięciem (285 Castle Avenue, wstęp bezpłatny 10.00–17.00, chociaż tak naprawdę budynki z zewnątrz możemy zwiedzać od świtu do zmroku)... i od razu rzucamy się biegiem do penetrowania. Jest to dosyć sporych rozmiarów skansen, a w jego starych (ponad stuletnich) chatach i kabinkach urządzone są: szkoła, drukarnia, sklep, gabinet lekarski, pralnia, magazyny i wiele innych nadgryzionych zębem czasu pomieszczeń. Jest stajnia, chata z klepi-skim, mnóstwo maszyn i pojazdów farmerskich, szyb kopalniane, i wiele niezidentyfikowanych przez nas urządzeń.

W sklepie, w którym mieści się małe visitor center, można dokładnie przyjrzeć się kolekcji broni czy starym fotografiami. Tutaj dzieciaki dostają zeszyty ćwiczeń, a po ich wypełnieniu otrzymają po gumie do żucia, którą będą mogli samodzielnie wydobyć ze 100 letniego automatu z gumami. Biegamy i zwiedzamy z wielkim zainteresowaniem po całym skansenie chłonać historię i klimat Winthrop. Znajduje się tutaj jeden z 80 ocalałych (na całym świecie) samochodów firmy *Rickenbacker*... Jednym słowem perełka turystyczna. Początki osadnictwa na tym terenie związane są bezpośrednio z kopalnictwem złota, a transformacja do jednego z najczęściej odwiedzanych turystycznie miasteczek Washingtonu nastąpiła po 1972 roku, kiedy oddano do użytku North Cascades Highway, który to przywiódł do doliny Methow setki turystów z zasobnymi portfelami. Wszystkie budynki miasteczka przy głównej ulicy (Riverside Avenue) zostały zaopatrzone we frontowe fasady w stylu Dzikiego Zachodu. Wieczorkiem zajeżdżamy pod hotel – tym razem całkiem przyzwoity i wskazujemy wycieńczeni do basenu, by ochłonać nieco po wszystkich dzisiejszych przeżyciach.

Dzień 13

Wstajemy jak zawsze o świcie i ruszamy przez wyludnione o tak wczesnej porze centrum Winthrop w kierunku North Cascade National Park. W miarę posuwania się (drogą nr 20) w kierunku wschodnim krajobraz zmienia się z totalnie suchego, gdzie spotkać można pasące się owce, konie i krowy, stając się bardziej zalesionym (*ponderosa pine*) i górzystym. W okolicy Mazama mijamy polskie ranczo i restaurację, ale tak wczesna pora nie daje nam niestety możliwości skosztowania pierogów.

Wznosimy się się z około 500 m n.p.m. (Winthrop) do Washington Pass overlook (1670 m n.p.m.). Tu robimy sobie dłuższy postój na pięknie położonym punkcie widokowym, którego rozległy parking świadczy o tym, że odwiedza go sporo ludzi. Szlakiem – pętelką przechodzimy kolejno do widoczków – uzbrojonych w bariery ochronne umiejscowione nad głębokimi przepaściami. Spoglądamy na majestatycznie prezentujące się przed nami ostre szczyty Early Winters Spires 2380 m n.p.m.

Jadąc dalej, przecinamy najsłynniejszy długodystansowy szlak w USA – Pacific Crest trail i zatrzymujemy się na chwilę na poboczu, by wręczyć autostopowiczowi – hikerowi trochę jedzenia. Podziwiam ludzi podejmujących tak trudną wędrowkę (długość

szlaku 2650 mil) i sama z nadzieją patrzę w przyszłość, by chociaż przejść jego część. Wędrowiec (z Anglii) jedzie w kierunku Winthrop w celu uzupełnienia zapasów i wraca z powrotem na szlak. Tu napomknę tylko, że warto obejrzeć film (lub przeczytać książkę) pt. *Dzika Droga*, gdzie główna bohaterka Cheryl Strayed przemierza prawie połowę szlaku, zaczynając od pustyni Mohave w Kalifornii, a kończąc na granicy Oregonu i Washingtonu. Piękna historia.

My zatrzymujemy się przy Rainy Lake (szlak 2 mile), by prościutkim asfaltowym chodniczkiem dojść do przejrzystego, uroczego, górskiego jeziora i chwilę cieszyć się jego widokiem w samotności. Jest to typowe jezioro cyrkowe (karowe) powstałe po wytopieniu się lodowca. Dostrzec tu można mały wodospad spływający z bardzo stromych skał do jeziora. Miejsce przyjemne na rozprostowanie nóg i złapanie świeżego powiewu górskiego powietrza. Jedziemy dalej widokowym parkway'em, odurzając się widokami ostrych ośnieżonych szczytów górskich i soczyscie zielonych sosnowych lasów. Zatrzymujemy się w kolejnych punktach widokowych, przystosowanych do przyjęcia olbrzymiej liczby turystów – parkingi są ogromne. Na Diablo viewpoint widzimy niesamowicie turkusowy kolor wody jeziora Diablo. Tak naprawdę droga nr 20, którą się przemieszczamy wcale nie prowadzi nas przez Cascade National Park. Jedziemy „korytarzem” nazwanym Ross Lake National Recreation Area, a park narodowy znajduje się na N i S od tego obszaru.

Bardzo gorąco polecam trudny, ale przepiękny (ponad 6-milowy) szlak – Cascade Pass, znajdujący się w S części parku narodowego (dojazd drogą nr 15). Jadąc dalej na zachód, zatrzymujemy się przy elektrowni George, skąd wychodzi krótki (0,5 milowy) szlak do Ladder Creek falls, niestety słabo widoczny wodospad ze względu na niski stan wody (trzeba zaparkować przy moście). Przed dojściem do wodospadu zaglądamy jeszcze do małego Visitor Center, z którego wnętrza przez przeszkłony punkt widokowy oglądamy turbiny elektrowni. Niecałą milę na zachód zatrzymujemy się znowu na krótki spacer. Zaczynamy od oględzin starej lokomotywy (Engine nr 6), która służyła tu do roku 1954, dowożąc najpierw sprzęt i materiały do budowy tamy i elektrowni wodnej, a następnie turystów. Przechodzimy zwodzonym mostem nad Skagit River i spacerujemy krótkim szlakiem pętłą – Trail of the Cedars interpretive loop, który szczerze mówiąc, można sobie odpuścić, ponieważ poza kilkoma powalonymi drzewami i podstarzałą małą elektrownią wodną nie ma tu nic do oglądania. Tak naprawdę to zwodzony most jest tu najciekawszy. Ponieważ jesteśmy przy kolejnym parku narodowym (North Cascade), dzieciaki upierają się na zdobycie kolejnej odznaki *junior ranger*a, jedziemy do Visitor Center (położonym na S od kempingu Newhalem Creek). Czekają tu na nas imponujące wystawy o niedźwiedziach. W zasadzie całe centrum poświęcone jest misiom, których w parku narodowym jest około 1500 sztuk (*black bears*). Podobno można też spotkać *grizzly*, których populacja jest jednak znikoma – około 10 sztuk. Chociaż misie żywią się przede wszystkim jagodami, jajami ptaków i insektami, należy pamiętać, że „ludzkie jedzenie”, a nawet butelka wody może przyciągnąć ich uwagę i stać się łatwym kąskiem.

Niedźwiedzie potrzebują około 20 000 kilokalorii dziennie, a jedząc jagody i robaki ciężko jest zbierać taką ich ilość. Na spotkanie z niedźwiedziem jesteśmy nara-

zeni przeważnie na kempingu, gdzie bezmyślni turyści pozostawiają resztki jedzenia na stołach piknikowych. Misie mają niesamowicie czuły węch – aż 7 razy lepszy od psa. Z odległości nawet 20 mil mogą poczuć zapach naszej kanapki. Jak się zatem przygotować do wędrówki po obszarze, gdzie misie występują? Pierwsza zasada to spacerować w grupie i głośno rozmawiać... misie nie lubią być zaskoczone, bo mogą zaatakować. Jeśli usłyszysz nas wcześniej, z reguły pójdą sobie w przeciwnym kierunku. W Walmart można zakupić sobie dzwoneczki na niedźwiedzie, które przyczepiamy do plecaka. Przyjemnie brzęczą i na pewno są niezbędne podczas samodzielnego spaceru. Warto też zakupić (również dostępny w Walmart) gaz pieprzowy. Może to być zwykły, mały, który jest trochę większy niż zapalniczka (około 10 USD) albo bardziej profesjonalny, typowy spray na niedźwiedzie (koszt około 40 USD). W razie ataku jest to rzecz niezastąpiona. Jeśli zobaczymy niedźwiedź z małymi, należy jak najszybciej zejść z jej pola widzenia... dla niej jest to sytuacja stresująca, bo w każdym ssaku widzi zagrożenie dla swojego potomstwa. Jeśli spotkamy się twarzą w twarz z misiem, trzeba spokojnie zacząć do niego mówić (cokolwiek) i powoli wycofywać się, nie wykonując żadnych porywczych ruchów, które mogłyby go zdenerwować i sprowokować do ataku. Po wypełnieniu wszystkich ćwiczeń dzieciaki składają uroczystą przysięgę ranger-ską przed wypchanym niedźwiedziem... i ruszamy dalej w kierunku Seattle.

Zjeżdżamy z gór i krajobraz staje się bardzo monotony. Ostatnim naszym punktem jest stara (ponad 100-letnia) opuszczona farma położona w Northern State Recreation Area. Najlepszą porą do jej odwiedzenia jest zapewne zmrok. Nie byłoby tu nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że farma była zarządzana przez pacjentów ze szpitala psychiatrycznego, których duchy straszą teraz w ruderach i sypiących się zabudowaniach. Przy drodze wjazdowej na farmę rosną wielkie krzaki jeżynowe, uginające się dosłownie od soczystych owoców. Spędzamy więc przy nich 20 minut, uzupełniając niedobory witamin. Kolejne 2 noclegi mamy zarezerwowane przez *airbnb* w Granite Falls w super domku kabinie z full wypasem.

Dzień 14

Dzisiaj ostatni nasz dzień terenowy. Wyruszamy na wschód Mountain Loop Hwy jeszcze przed 7 rano, by zaatakować w samotności jaskinię lodową (*Ice cave*). Parkujemy na drugim wielkim parkingu Big Four Ice Cave trailhead (ze względu na dużą popularność tego szlaku są 2 parkingi). Szlak prowadzi po stosunkowo płaskim terenie i ma długość 2 mil. Idziemy początkowo lasem, przechodząc przez most nad rzeką South Fork. Dziś jest tu niski stan wody, ale podczas mojej poprzedniej wycieczki znalazłam się tu w niedługim czasie po powodzi, która ten most zerwała i szlak był zamknięty. Przechodziliśmy przez lodową rzekę, mocząc się prawie do pasa, bo tak bardzo zależało nam na zobaczeniu jaskini. Szlak prowadzi dalej lasem i przechodzimy kolejne 2 mostki, mijając kolorowe kwitnące kwiaty. Kiedy wychodzimy z lasu, ukazuje nam się spektakularny widok postrzępionych szczytów górskich Big Four Mountain i lodowej jaskini w otoczeniu wielokolorowych kwiatów. Pod żadnym pozorem nie wolno wchodzić do tej jaskini. W ciągu całego roku istnieje bardzo duże ryzyko zaważenia się lub odpadnięcia kawałków lodu. W zimie i na wiosnę częste są też lawiny. Ostatni śmiertelny wypadek miał tu miejsce w lipcu 2018 roku, zabijając jednego hikera, który udał się

w głąb jaskini. Pięć innych towarzyszących mu osób odniosło liczne obrażenia, kiedy to od sklepienia oderwały się potężne kawałki lodu, spadając bezpośrednio na nich. Nie ma tu zasięgu więc wezwanie pomocy przez telefon jest niemożliwe. Cieszymy się pięknem jaskini „od zewnątrz” i wracamy szybkim tempem do auta, bo przed nami kolejna super atrakcja. Jedziemy dalej na wschód Mountain Loop Hwy aż do Barlow Pass, skąd droga staje się już szutrowa i bardziej wyboista.

Jedziemy wzdłuż Soak River, przy której co kilkadziesiąt metrów rozbite są dzikie obozy kempingowiczów. Przy kempingu Bedal odbijamy na prawo w bardzo szutrową, wąską drogę o szerokości niecałego pasa i pniemy się powolutku do góry aż do wyjścia na szlak North Fork Falls. Droga jest generalnie zarośnięta i bardzo zaniedbana, ale fakt, że przede mną skręcił w nią ranger, daje mi poczucie pewności, że gdzieś mnie doprowadzi. Po przejechaniu mili, parkujemy w małej zatoczce (na 3 auta) i idziemy na szlak (długość 0,6 mili). Przed wyjściem na szlak jest informacja, że jego część jest uszkodzona i należy zachować szczególną ostrożność. Schodzimy bardzo stromo w dół i przy rozwidleniu (z pięknym widoczkiem na wodospad) odbijamy na lewo co pozwala nam dojść do podnóża wodospadu. Zanim tam dojdziemy, musimy przedrzeć się przez zarośla i pokombinować trochę, wspinając się na powalone kłody drzew. Widok wodospadu rzuca na kolana. Olbrzymia masa wody wali z wielkim hukiem o skały.

Przez kolejną godzinę, jaką tu spędzamy, jesteśmy zupełnie sami – to jest właśnie najcudowniejsze!!! Mamy go tylko dla siebie. Rozkoszujemy się jego pięknem, tzn. ja się rozkoszuję, a dzieciaki wariują, zjeżdżając ze skał (i niszcząc doszczętnie spodnie – sztuk 2). Janek znajduje tu łuskę po naboju, co staje się jego trofeum i co przeżywa później do samego końca wakacji. Wdrapujemy się następnie z powrotem na parking, który zapamiętam jako pachnący jesienią. Pomimo że jest dopiero sierpień, dużo pożółkłych liści leży już na ziemi, podgniwając delikatnie i wydzielając ten specyficzny jesienny zapach, wciągamy całymi płucami rześkie powietrze i ruszamy z powrotem, jak się okaże – do miejsca, gdzie nie powinniśmy jechać. Tu polecam zrobienie całej pętli – Mountain Loop Scenic Byway albo powrót i szlak Mt. Pilchuck, przed którym stchórzyłam tym razem ze względu na dzieci i ich nieco ograniczone możliwości. Za rok Mount Pilchuck idzie na pierwszy strzał, bo to co prawda bardzo uczęszczany i za-deptany szlak, ale widoki z jego szczytu (na którym znajduje się wieża obserwacyjna – *fire lookout*) rzucają na kolana. Przez kolejne półtorej godziny jedziemy w kierunku pięknego, ale strasznie skomercjalizowanego miejsca, jakim jest Snoqualmie falls. Towarzystwo we flipflapach, strzelające selfie, to pierwszy widok, jaki poza widowiskowym wodospadem mamy na pierwszym planie. Zbiegamy szybko w dół do podstawy wodospadu, ale tu też kłębią się ludzie i też duża ich część ma na nogach klapki... Próbuję zrobić jakieś ładne zdjęcie ze statywu, ale ciągle mi ktoś wchodzi w kadr, rusza statywem. Zarządzamy więc odwrót i bardzo powoli krok za krokiem suniemy stromo do góry i wracamy do auta. Podjeżdżamy jeszcze kawałeczek do North Bend, by zerknąć na kilka zabytkowych lokomotyw i wagonów i znowu przez ponad 1,5 godziny toczymy się w kierunku noclegu. Pakujemy dobytek i padamy spać. Jutro wieczorem opuszczamy Washington.

Dzień 15

Dzisiaj cały dzień spędzimy w Seattle – mieście, w którym przez 200 dni w roku mieszkańcy obserwują nad głowami zachmurzone niebo, lub przyjmując jeszcze bardziej pesymistyczną statystykę – przez 294 dni w roku częściowo zachmurzone niebo. Ale patrząc na inne dane można się trochę podbudować – ilość deszczu, który spada w Seattle w ciągu roku to „zaledwie” 94 cm, natomiast w Miami na Florydzie opady wynoszą aż 165 cm na rok, a przecież miejsce to kojarzymy głównie ze słońcem i rozgrzanymi plażami. Niestety występuje tu znaczna różnica w nasileniu opadów, bo w Seattle przeważnie się nie „kapuśniak”, a na Florydzie jak gruchnie, to w ciągu godziny spadnie więcej deszczu niż w Seattle w ciągu 2 tygodni. My cieszymy się przez cały dzień częściowo zachmurzonym niebem lub, mówiąc bardziej optymistycznie, częściowo wyglądającym zza chmur słońcem.

Wyjeżdżamy dużo wcześniej, by spokojnie znaleźć miejsce parkingowe w centrum miasta. Na szczęście jest sobota i poszukiwania kończą się błyskawicznie w garażowym parkingu (*Butler Garage*) tuż przy samym Pioneer Park (13 USD za cały dzień). Mamy zarezerwowaną wycieczkę po „podziemnym mieście” – „Bill Speidel’s underground tour” na godzinę 9 rano (bilet 20 USD/dzieci 10 USD). Ponieważ przyjechaliśmy tu nieco wcześniej, zaczynamy rozglądać się dookoła w poszukiwaniu „zabytkowych” budowli. Niestety dość ciekawą architektonicznie przestrzeń przyćmiewa widok dzielnic bezdomnych porozkładanych w każdym kącie placu i ulic z nim sąsiadujących. Wokół nich spacerują dziobiące okruszki gołębie. Część tych bezdomnych już zdążyła się przebudzić i otworzyć puszkę piwa czy dobrać się do kosza na śmieci w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Chociaż jesteśmy w centrum miasta, które kipi życiem i utrzymuje się w dużym stopniu z turystyki, miejsce to przypomina raczej podrzędną dzielnicę, gdzie lepiej nie zaglądać nawet przed zmrokiem.

Seattle boryka się od lat z bezdomnością szczególnie nastolatków, którzy masowo uciekają z domów przed przemocą i niestety wpadają w nałogi, z których tylko bardzo nielicznym udaje się wyjść na prostą. Na ulicach miasta żyje ponad 12 500 ludzi bez stałego zameldowania, z czego około prawie 5000 stanowią niestety dzieci i „młodzi dorośli”. To co jest niesamowite, to fakt, że 75% z tych dzieciaków chodzi albo przynajmniej jest zapisanych do szkół. Seattle zajmuje 3 miejsce w kraju pod względem bezdomnych mieszkańców (po Los Angeles i Nowym Jorku). Od 2015 roku władze miasta starają się pomóc tym ludziom, budując tzw. *tiny houses*, czyli małe domki (o rozmiarach zaledwie 2,5 m x 3,5 m). Do tej pory na terenie Seattle jest 10 takich wiosek. W każdej z nich znajduje się od 15 do 34 domków z podłączeniem elektrycznym i ogrzewaniem. Kuchnia, pralka, świetlica i łazienki dla społeczności wioski są wspólne. Każdy mieszkaniec musi wolontaryjnie wykonywać prace naprawcze, administracyjne i sprzątające. Główną ideą tego przedsięwzięcia nazywanego też *Transition centers*, jest pomoc ludziom bezdomnym w znalezieniu pracy i stałego dachu nad głową, wyjście z nałogu, a przede wszystkim zapewnienie im bezpieczeństwa i wsparcia psychologicznego by mogli „stać na nogi”. Koszt budowy jednego domku to około 10 000 USD i jest on w 100% finansowany przez miasto. Inne miasta w USA również zaczęły podobne programy, chociaż nie w tak dużym stopniu jak ma to miejsce to w Seattle.

Naszą przygodę z „podziemnym miastem” zaczynamy od 15 minutowego wykładu w sali należącej do pubu (*Doc Maynard's Public House*). Dowcipna przewodniczka Adrianna daje przysłówiowego czadu przez cały czas trwania wycieczki, opowiadając w przeżabawny sposób perypetie mieszkańców zmagających się czy to z problemami wodociągowymi, architektonicznymi czy wszechobecnie panującą korupcją.

Początki Seattle sięgają roku 1851, kiedy to grupa imigrantów ze stanu Illinois pod wodzą *Artura Dennego* założyła osadę nazywając ją na cześć – indiańskiego wodza *Sealth* (plemion *Suquamish* i *Duwamish*), który był bardzo przyjaźnie nastawiony do białych przybyszy. Teren był bardzo błotnisty ograniczony ze strony łądu stromymi zboczami górskimi porośniętymi gęstymi lasami, o których to wycince i szybkiej sprzedaży rozwijającemu się miastu *San Francisco* pomyślał *Artur*. Postawił kilka drewnianych chat i zapoczątkował wielki „boom” przemysłu drzewnego. Kolejną znaną postacią jest *Henry Yesler*, który przyniósł duże zyski miastu – poprzez wybudowanie olbrzymiego parowego tartaku oraz wprowadził nową formę wspomagającą zarządzanie na wyższym szczeblu administracyjnym, którą obecnie nazywamy korupcją. Pełnił on funkcje komisarza i majora przez wiele lat, powiększając o niewiarygodnie wysoką sumkę swoje konto bankowe, przekupując, oszukując na podatkach, i wprowadzając samosady. Pomimo tych wyczynów mieszkańcy miasta ciągle wybierali go na majora.

W roku 1887 przeprowadzono pierwszy obowiązkowy spis ludności. W owym czasie okazało się, że 10% populacji miasta deklarowało się jako młode kobiety wykonujące zawód krawcowej lub bieliźniarki, lecz po wszczętym dochodzeniu okazało się, że w mieście nie znaleziono ani jednej maszyny do szycia. Cóż panie lekkich obyczajów musiały w jakiś sposób ukrywać swoją profesję, stąd też zawód szwaczki wydał im się szalenie bliski do zawodu, który wykonywały. Po wielu debatach „zaakceptowano” zawód szwaczki jako legalny i opodatkowano go jak każdy inny, dzięki czemu stał się on najbardziej dochodowym w mieście biznesem, przynosząc około 87% przychodów pochodzących z podatków.

Miasto borykało się z jeszcze innym problemem. Duża ilość opadów, kiepski system kanalizacyjny, zalewanie ulic przez wysokie pływy to wszystko powodowało, że ulice miejskie były w opłakanym stanie. Codziennie pełne trocin beczki były wywożone z tartaku, by „pozalepiać” dziury w drogach. Niektóre z tych dziur były tak wielkie, że stawały się miejscem tragedii. Kiedy 10-letni chłopiec utonął w jednej z nich, zarząd miasta wprowadził obowiązkowe lekcje pływania dla wszystkich dzieci powyżej 6 roku życia. Następnego dnia po tragedii w gazetach napisano: *Chłopiec utonął na ulicy miasta*. Można znaleźć wzmianki, że całe bryczki ciągnięte przez konie zapadały się po „uszy” w błocie. A wyciągnięcie takiego pojazdu z bagnistej brei czasami okazywało się wręcz niemożliwe. Dziury te były tak wielkie, że mieszkańcy zaczęli im nadawać nazwy np. *Jackson street Chuckhole*. Dziura ta miała ponad 5 metrów długości i 2,5 metra głębokości. Najbardziej „niesmacznym” problemem mieszkańców tamtych czasów była walka z nieczystościami. W 1881 roku wprowadzono nowoczesne toalety, które przy niskim odpływie funkcjonowały bez zarzutu, natomiast gdy poziom wody w oceanie podczas przypływu się podnosił nieczystości kierowane były w przeciwną stronę powodując przy spuszczeniu wody w kibelku fontannę fekaliiów.

W czerwcu 1889 centrum miasta uległo pożarowi nazwanemu *The Great Seattle Fire*. Pożar strawił całe miasto, paląc się aż 12 godzin między innymi z powodu awarii wodociągów (powodując śmierć zaledwie 2 osób (ale za to miliona szczurów, z którymi też nie mogli sobie poradzić mieszkańcy). Władze miasta podjęły wtedy dwie ważne decyzje związane z odbudową. Po pierwsze wszystkie nowe budynki musiały powstać z kamienia lub cegły, po drugie powinny one być wyższe przynajmniej o jedno piętro niż poprzednie. W ciągu kolejnych lat wszystkie nowe drogi budowano od 4 do nawet 9 metrów wyżej niż poprzednie, by przede wszystkim zapobiec niekończącemu się zalewanu. Fasady budynków na pierwszych piętrach zostały zaadoptowane jako wejścia, a oryginalne wejścia zostały w piwnicach. Jeżeli właściciel jakiegoś budynku nie zgadzał się lub nie miał pieniędzy na nadbudowanie o piętro ulicy przy jego posesji, wtedy stawiano drabinę, po której z ulicy schodziło się na przykład do sklepu położonego w piwnicy. Na ten „prześciwowy” okres notuje się aż 17 wypadków śmiertelnych, szczególnie wśród mężczyzn, którzy po wyjściu z pubu spadali o piętro niżej, ginąc na miejscu. W gazetach pisano wtedy o dobrowolnych samobójstwach. Nierzadko z głównych ulic spadały też całe dorożki z końmi, zabijając na miejscu przechodnia, który spacerował na dolnym poziomie. Kiedy ukończono już zabudowywanie całego miasta, w chodnikach zainstalowano witrażowe prześwity, dzięki którym właściciele sklepów piwnicznych mieli możliwość ujżenia światła dziennego. Teraz, kiedy udamy się na spacer po mieście, możemy tych szkiełkowych chodników dostrzec naprawdę wiele, nie zdając sobie sprawy, że tak naprawdę znajdujemy się na poziomie pierwszego piętra. W 1896 roku rozpoczęła się gorączka złota w Klondike w Kanadzie, co przyniosło miastu przeogromne zyski. Seattle stało się wtedy centrum zaopatrzenia w żywność, namioty i narzędzia górnicze dla poszukiwaczy. Gorączka złota nad Klondike wygasła w roku 1903 po wyczerpaniu się głównych zasobów złota, co również zatrzymało w znacznym stopniu dopływ gotówki do Seattle. W 1907 roku miasto z kolei borykało się z epidemią dżumy.

W podziemnym mieście zaczął natomiast rozwijać się światek przestępczy, oferujący nielegalne zakłady, zakazany wtedy alkohol i opium. Podziemia przyciągały też bezdomnych, szukających dachu nad głową. Były to 2 miasta w jednym. W 1965 roku podziemnymi pozostałościami zainteresował się Bill Speidel, który rozpoczął zakrojoną na szeroką skalę akcję renowacji historycznych budynków i to właśnie dzięki niemu możemy teraz uczestniczyć w tak interesującej wycieczce po podziemiach, schodząc do nich trzykrotnie podczas godziny. Stropy są tu podtrzymywane palami, o które pod żadnym pozorem nie wolno się opierać, by nie uszkodzić konstrukcji znajdującego się nad nami chodnika. Przechodzimy kolejno oświetlonymi korytarzami pełnymi „zabytkowych” śmieci. Widać pozostałości witryn sklepowych, zdobionych elewacji, mebli, urządzeń, i ogólnie mówiąc wszelkiego rodzaju rupieci. Jest to wspaniała lekcja historii, od której proponuję każdemu zacząć wycieczkę po Seattle.

Korzystając z okazji, że nasz samochód odpoczywa spokojnie na strzeżonym parkingu, idziemy piechotką przez *Occidental Square* w kierunku Klondike Gold Rush National Historic Park, ulokowanego w jednym z zabytkowych budynków przy *Jackson Street*. Tu znowu spotykamy się z wielką liczbą bezdomnych mieszkańców, któ-

rzy karmieni są pączkami i gorącą kawą przez drużynę wolontariuszy. Na placu stoją ciekawe rzeźby strażaków, na które wdrapują się wszystkie obecne tu dzieci, również moje. Rozstawione są stoliki i mega wielkie szachy oraz kilka innych gier planszowych i kręgle. Spotykają się tu okoliczni mieszkańcy, by miło spędzić czas, popijając poranną kawkę. W Klondike NHP zaopatrujemy się w zeszyty ćwiczeń do programu *Junior Ranger* i zacinamy długi edukacyjny spacer od wystawy do wystawy. Muzeum jest bardzo nowoczesnie urządzone z interaktywnymi displejami dla dzieci. Warto też poświęcić 20 minut na obejrzenie filmu o gorączce złota, dla której Seattle było bazą wypadową i zaopatrzeniową przez cały okres jej trwania. W 1896 roku 3 poszukiwacze odnaleźli bogate złoża złota w strumieniu *Bonanza* będącego dopływem rzeki Klondike. Świat dowiedział się o tym, gdy obławowani kruszcem pojawili się właśnie w Seattle, wywołując tym faktem histerię i napływ tysięcy poszukiwaczy. Wszyscy żądni złota zatrzymywali się najpierw w Seattle w celu zaopatrzenia, a następnie drogą morską podążali do Dawson City, które w przeciągu roku pochwalić się mogło już liczbą 30 000 mieszkańców. Kiedy złoża zostały już wyeksploatowane, poszukiwacze przenieśli się jeszcze wyżej na północ na tereny Alaski. Gorączka w Klondike była najczęściej opisywaną gorączką złota zarówno w prasie powszedniej, jak i książkach. Jack London czy Juliusz Verne to najślawniejsi pisarze, którzy uwiecznili opowieści w swoich dziełach. Powstawały też filmy m.in. z udziałem Charliego Chaplina pt. *Gorączka złota*. Dużo jest też fotografii pochodzących z tego okresu, których reprodukcje możemy teraz oglądać w muzeum. W czasie gorączki od poszukiwacza udającego się w tak nieprzyjazne tereny wymagano, by był zaopatrzony w zapasy żywności, które wystarczyłyby na okrągły rok, ponieważ sama podróż nad rzekę Klondike trwała prawie pół roku. Zapasy takie ważyły 500 kg (plus narzędzia to razem 1 tona!!!), i były ulokowane w wielkich skrzyniach, które zawieszano na konie czy woły. Z powodu takich właśnie utrudnień ze 100 000 osób na miejsce dotarło tylko 30 000, z czego jedynie 15 000–20 000 zostało poszukiwaczami złota, 4000 je załazło, a tylko kilkaset zostało naprawdę bogaczami.

Po zaliczeniu kolejnej odznaki rangerskiej spacerujemy nad Water Front. Tu spotykamy się z olbrzymią masą ludzką spacerującą zware (z frytkami w dłoniach). Są tu tylko restauracje, sklepiki z upominkami i port, z którego można wypłynąć na wycieczkę statkiem lub promem. Opuszczamy więc to miejsce bardzo szybko, kierując się na północ do Pike Place Market, czyli do miejsca, gdzie kotłuje się jeszcze większy tłum. Najbardziej widowiskowym miejscem marketu jest oczywiście pokaz latających ryb. Kłębowski ludzie oczekujących na „rzut” było tak zwarte, że jedyną drogą dotarcia do jakiegokolwiek prześwitu było przeczołganie się między ich nogami. „Flying Fish” bo tak się zwie to widowisko, to po prostu kilka okrzyków i przerzut wielkiego łososia od jednego sprzedawcy do drugiego. Ale przyznać trzeba, że wygląda to bardzo widowiskowo. Goście dawali naprawdę czadu. Krzyczeli do ludzi, żeby w końcu ktoś z gapiów zakupił jakąś rybę, bo za darmo rzucać nimi nie będą. Co jakiś czas dla żartów sprzedawcy rzucają również sztuczną rybę w kłębiący się tłum, co powodowało chwilową panikę, szczególnie wśród elegancko ubranych kobiet. Po obejrzeniu spektaklu, zakupujemy w niedalekiej budce „corn-doga” oraz rybę z dużą porcją

przypalonych frytek. Szczerze mówiąc, jest to obrzydliwe. Dzieci, które są wielkimi fanami frytek, nawet nie chcą na nie spojrzeć.

Piętro niżej niż główna ulica marketu jest tzw. „Gumowa Aleja” – czyli boczna uliczka oblepiona po sam „sufit” przeżutymi gumami do żucia. Miejsce to przyciąga przede wszystkim selfiarzy. Historia ściany z gumami do żucia zaczęła się w 1990 roku. Mur znajduje się niedaleko Market Theatre. Podobno wszystko zaczęło się od tego, że widzowie, czekający w długich kolejkach do kas, zaczęli przyklejać gumy do ściany. W 2015 roku mur został całkowicie wyczyszczony (gumy ważyły około tony!!!). Mimo to gumy ponownie są przylepiane i alejka stała się wielką atrakcją turystyczną, opisywaną nawet w *Lonely Planet*. Jeśli ktoś ma ochotę na kawę, to w kompleksie Pike Place Market znajduje się pierwsza kawiarnia *Starbucks*, która została otwarta w 1971 roku. Od tego czasu na terenie USA wybudowano ich ponad 14 300, przebijając nawet liczbę McDonaldów. My uciekamy od tych tłumów z powrotem do naszego auta i udajemy się zobaczyć dość nietypowy pomnik, znajdujący się w dzielnicy Fremont (3526 Fremont PI N, Seattle).

Pięciometrowy Pomnik Vladimira Lenina stoi na głównym skrzyżowaniu i nie sposób go nie zauważyć. Przywieziono go tu z terenów byłej Czechosłowacji i jest obecnie obok Trolla najbardziej rozpoznawanym punktem Fremont. Pomnik jest często demolowany przez okolicznych mieszkańców. Podczas naszej wizyty towarzysz ma umazane czerwoną farbą ręce. Szczerze mówiąc, patrząc na ten pomnik, odczuwam brak jakiegokolwiek smaku i taktu historycznego. Amerykański nauczyciel języka angielskiego (Lewis E. Carpenter), pracujący w Popradzie, znalazł niszczący powalony pomnik, spacerując po mieście. W jego otoczeniu ukrywał się bezdomny, który znalazł schronienie w „ramionach” towarzysza. Niszczący pomnik wykonany z brązu czekał na rozczłonkowanie i sprzedanie. Nauczyciel zainteresował się jego kupnem i postanowił otworzyć po powrocie do USA słowacką restaurację, gdzie pomnik stanowiłby dekorację lokalu i przyciągnął tłumnie klientów. Po wielu perypetiach i długiej walce na szczeblu biurokratycznym pan Carpenter w 1993 roku zdobył pozwolenie na wywóz pomnika za granicę, zapłaciwszy za niego 13 000 USD. Pomnik został pocięty na 3 kawałki i za kwotę 40 000 USD przywieziony statkiem do USA. Cała kwota na poczet tego przedsięwzięcia została całkowicie sfinansowana przez Carpentera, który to zaciągnął pożyczkę pod zastaw swojego domu. Niestety kilka miesięcy po otrzymaniu „drogocennej” przesyłki, podczas publicznej debaty na temat ustawienia pomnika w mieście Issaquah, niedoszły restaurator zginął w wypadku samochodowym. Rodzina, chcąc odzyskać jakiekolwiek pieniądze, postanowiła zawieźć dzieło do odlewni brązu, gdzie zainteresował się nim właściciel tejże odlewni – Peter Bevis, który zdecydował się postawić tymczasowo pomnik w miasteczku Fremont, przekonując do swojej racji upartą radę Chambers of Commerce.

W roku 1995 pomnik Lenina stanął więc w miasteczku, które zezwoliło na jego prezentację aż do momentu znalezienia na niego kupca. Cena, za jaką można go nabyć, to 250 000 USD. Chętnych na razie nie znaleziono, a politycy coraz bardziej naciskają radę miasta na usunięcie tego pomnika z obecnego miejsca. Budzącym znacznie przyjemniejsze uczucia jest znajdujący się około pół mili dalej pomnik Trolla umiejscowionego

pod wiaduktem Aurora Bridge. Tu widzimy już znacznie większe tłumy, przeważnie dzieciaków, wdrapujących się na ponad pięciometrowego betonowego potwora. Troll patrzy na nas groźnie swoim połyskującym metalowym okiem, miażdżąc w rękę Volkswagena garbusa. (N 36th St, Seattle, parking jest tu bezpłatny wzdłuż ulicy). Kolejna ciekawa miejscówka, do której się udajemy, to Gas Works Park (2101 N Northlake Way, Seattle, wjazd bezpłatny). Jest to pozostałość po elektrowni gazowej Seattle Gas Light Company, która w fantastyczny sposób została zagospodarowana jako park miejski, oferujący piękną panoramę Seattle. Dla dzieciaków jest tu super plac zabaw, a część rur i urządzeń gazowych została wkomponowana i ozdobiona w taki sposób, by stanowić prawdziwą atrakcję zbioru tegoż owocu ję dla zwiedzających. Przychodzą tu całe rodziny i grupy młodych ludzi na pikniki, spacer i przejażdżki rowerowe. Jedyny mankament to toalety woniejące na bardzo dużą odległość. Po tych wariacjach na placu zabaw jedziemy odwiedzić grób Bruce Lee (1554 15th Ave E, Seattle, 9–5.30), mistrza sztuk walki karate, kung-fu i taekwondo, znanego przede wszystkim jako aktora filmów akcji.

Na koniec podjeżdżamy jeszcze na grób Jimi Hendrixa w Renton i tym kończymy naszą przygodę z Seattle – miasta, które mi osobiście bardzo się podoba i pomimo że wolę spędzać czas na łonie natury, to taki jeden dzień na koniec wycieczki, gdzie można liźnąć trochę historii i kultury, dobrze zrobi każdemu. Seattle to jedno z najlepiej rozwiniętych obecnie miast Stanów Zjednoczonych. To tu narodziły się znane obecnie na całym świecie firmy, takie jak: Nordstrom, UPC, Sturbs czy Amazon. Stąd pochodzą tak wielkie sławy, jak: Jimi Hendrix czy członkowie zespołów: Nirvana, Pearl Jam, Soundgarden czy Alice in Chains, na których muzyce się wychowałam. A co ciekawe, badania z 2008 roku przeprowadzone w oparciu o ankiety, wykazały, iż w Seattle istnieje największy odsetek absolwentów szkół wyższych oraz wyższych uczelni w stosunku do pozostałych miast Stanów Zjednoczonych!!!

Wymęczeni dowlekamy się na lotnisko, gdzie dowiadujemy się, że nasz lot jest niestety opóźniony, a kiedy w końcu o 6.30 nad ranem lądujemy na lotnisku w Chicago, zrywa się tak potężna burza, że siedzimy dosłownie uziemieni w samolocie przez najbliższe 3 godziny. Ale najważniejsze jest to, że udało nam się wylądować, bo tego dnia skasowano w ogóle wiele lotów z powodu niesprzyjających warunków pogodowych. Decyzja, która zostaje podjęta podczas tego oczekiwania na wypuszczenie – za rok jedziemy znowu do Washingtonu!!!!

Spis treści

Drodzy Czytelnicy	3
www.travelbit.pl	4
W świecie globtroterów	5
Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów – OSOTT www.travelbit.pl/osott	7
Konkurs na relację z wypraw	10
Beata i Tomasz Cukiernik	
Syberia zimą	11
Agnieszka Batycka, Krzysztof Batycki	
Korea Południowa. Podróż poślubna – samolotem, pociągiem, autobusem, samochodem i pieszo	19
Piotr Wiland	
Nowa Zelandia – Wyspa Północna	28
Radomir i Anna Kolmas (z Pawłem i Antoniną Kolmas)	
Stany Zjednoczone – od Miami do Chicago	40
Katarzyna Anoszczenko (Zuza)	
Washington – stan drzemiących wulkanów	46